

4 recensie

WŁODZIMIERZ MACIĄG

KŁĘSKA SAMOTNOŚCI

A więc wreszcie coś prawdziwie współczesnego. Żadnych masek historycznych, żadnej oczyszczonej z realiów dnia dzisiejszego moralistyki, sceneria, problematyka wprost z artykułów wstępnych „Przeglądu Kulturalnego”. Wilhelm Szewczyk napisał bardzo ciekawą, by nie rzec pasjonującą powieść o klęsce prywatności jako postawy, o próbie ucieczki do wewnątrz samego siebie, która zakończyła się przegraną. Zapewne, jako problem nie jest to rzecz nowa. Od historii nie można uciec — to już wiemy. W jakimkolwiek miejscu spróbujemy się zatrzymać, jakiegokolwiek wywiesić godło — stajemy się czyimś sojusznikiem, czyimś wrogiem. Nawet nie wywieszając żadnego godła, komuś musimy sprzyjać, tyle że nieświadomie. Ale Szewczyk nie mówi o wyborze generalnym. Tu nie o ideologię idzie ani podobnie wzniosłe problemy. Ktoś chciał na jeden urlopowy miesiąc zrzucić z siebie swoją zwykłą skórę, zrealizować na parę tygodni trapiącą nas wszystkich tęsknotę za zmianą mieszkania, zawodu, żony, miasta, znajomych. Stanisław Dygat posłał swego bohatera w tym celu aż na Capri, Szewczyk jest skromniejszy, jest bardziej na miarę naszych rzeczywistych możliwości. Jego bohater nie jest szczęściarzem. Toteż jedzie do lubuskiego Łagowa i to tylko na parę urlopowych tygodni. W sensie generalnym nikogo nie stać na niezależność, bo niezależności w ogóle nie ma. Ale czy można mieć jakąś własną jedną sprawę, coś co nie zmusza do żadnych kolizji społecznych, jakiś ogródek wewnętrzny, który się pielęgnuje i z którego chciałoby się pól żartem zerwać

owoce? To wszystko nie dzieje się naprawdę, to tylko żart urlopu, krótkiego okresu, w którym przestajemy być sobą, w którym można sobie na wiele pozwolić. Bohater Szewczyka próbuje więc. Powieść „Wyprzedaż samotności” to właśnie pamiętnik tych kilkunastu dni.

Dlatego też nie znamy szczegółów personalnych. Bohater sam nie chce o tym myśleć, czytelnikowi do niczego to niepotrzebne. Ten okres jest z życia wyjęty, ciężar zwykłych więzów ma przestać działać. W małej mieścinie czekamy wraz z Jerzym na kochankę, której przyjazd kogoś musiałby skompromitować, dlatego utrzymuje się go w tajemnicy. Ale tutaj nikogo się nie zna, więc tajemnicy nie ma. I już nie tyle o unikanie kompromitacji idzie, ile o samą możliwość przeżycia erotycznego bez przypadkowych, z zewnątrz wdzierających się zgrzytów, bez pamiętania o codziennych obowiązkach, o zachowywaniu pozorów, dyskrecji.

Pomysł rozwijany mógłby być po różnych liniach. Na przykład wzajemne bezpieczeństwo mogłoby przynieść rozczarowanie, brak atmosfery spiskowania doprowadziłby do nudy. Byłby to pomysł literacko bardziej tradycyjny. Szewczyk wybiera wersję na pozór zwykleszą, banalną, w istocie stwarzającą inne możliwości literackie: pokazuje mianowicie, że od znajomych nie można się nigdzie uwolnić. Znamy to, prawda? Znajomi są wszędzie. Bo to my sami ich wszędzie umieszczamy, na nich z drzeniem serca czekamy. Potrzebujemy ich nawet wtedy, kiedy nie chcemy ich koło siebie widzieć. Bohater Szewczyka już nie tyle nie może być samotny, co nie umie być samotny. I to jest chyba najważniejsza sprawa powieści. Właśnie nie umie, nie potrafi się izolować, nie jest w stanie otoczyć się nieprzenikalnością, obcością. To dobrze — powie ktoś, że Jerzy nie umie być obojętny, obcy, zimny, egoistyczny. To źle — powie ktoś inny, że nie stać go już na własny świat wewnętrzny, na stworzenie własnych

przeżyć, własnych form duchowych, które dają rację człowieczeństwu, są bazą osobowości. Lecz powieść, jak już wspomniałem, nie ma wymiarów tak maksymalnych. Jerzy chce przeżyć jedynie swój romans, chce wygrać wszystkie jego szanse, chce — być może — sprawdzić sam siebie i swoje uczucia. Nie kładzie na szalę swej osoby ani swego życia, ani innych podobnie poważnych spraw. Chce zaryzykować tylko jeden urlop. I nawet tyle mu się nie udaje. Gubi go nieszczęsna kontaktowność, łatwość zawierania znajomości, sympatyczność, gotowość do reagowania na każdą towarzyską propozycję. Sympatyczność doprowadza go z zasady do nieporozumień, zderzeń różnego rodzaju, zamiast dawać szansę wewnętrzną przynosi ciągle nowe konflikty. Proces kontaktowania się przebiega z oporami, które jednak nie wynikają z niechęci bohatera, lecz tworzone są przez otoczenie. I oto zespół sprzeczności: bohater chce być sam, a wbrew sobie pcha się między ludzi (kochanka zwlekając z przyjazdem skazuje go na bardzo niewygodną sytuację psychiczną), bohater szuka z ludźmi porozumienia, potencjalnych sojuszników czy przynajmniej neutralnych obserwatorów — znajduje zaś świat, który na niego czyha.

I w ten sposób obie potrzeby wewnętrzne skazują go na przegraną. Ani samotny być nie umie, ani porozumieć się z ludźmi nie może, choć jedno i drugie jest mu bardzo potrzebne, trwa przez całą powieść w jakiejś sytuacji pośredniej, męczy się i miotają, boi się, że ludzie go zdradzą, ale za słaby jest, aby umieć się ich wyrzec. Jak już wspomniałem — literatura zna takie sytuacje. Nowością Szewczyka jest rodzimy szafaż problemu, jego rodzima „specyfika”.

Bo świat, który jego bohatera w czasie urlopowej przygody otacza, nie jest konwencjonalną makiętą psychiczną, lecz żywym, autentycznym światem polskiej prowincji. Reportażysty znają z praktyki zawo-

dowej momenty, kiedy przyjechawszy do małego miasteczka nie mogą ani rusz wejść wewnątrz, poznać jego rzeczywistej autentyczności, jego stronnictw, namiętności, jego prawdziwych przywódców wreszcie. Otacza ich nie tyle zmowa czy zorganizowana wrogość, ile coś znacznie bardziej bezwładnego, uchylającego się uchwytom i określeniom: jakaś niezycliwa obojętność, niechęć do informowania zmieszana z pogardą dla dezorientacji przybysza. A obojętność ta podszyta jest w dodatku pragnieniem kompromitacji, ośmieszenia, okazania okrucieństwa, a przynajmniej obcości. Jerzy, bohater powieści, poznaje miasteczko w znacznie bardziej dramatycznych okolicznościach: styka się mianowicie z aferą kradzieży i sprzedaży blachy z pobliskiej fabryki. To drugi nurt powieści, jak gdyby niezależny od perypetii psychologicznych, rzeczywisty, sprawdzalny a przecież zamieniony także w sprawę duchową bohatera.

Ktoś spytał go o cenę blachy, ktoś inny poprosił o pomoc przy jej ekspedycji. Kupił zabawkę małemu bratu motocyklisty, który zamieszany jest w sprawę kradzieży, był świadkiem awantury, brał czyjąś stronę. Jerzy zupełnie przypadkowo poznaje cały tok afery, zna jej wykonawców, dysponentów, współników. I samo to poznanie już wciąga go w jej bieg, podpowiada zainteresowanie dla powodzenia zakonspirowanej akcji. Jerzy staje się współnikiem, nie mającym wprawdzie żadnych udziałów pieniężnych, ale wciągnięty psychicznie, kimś, kto jest świadom rzeczy i do kogo można mieć zaufanie. Nie dość więc, że przegrał walkę o samotność, ale jeszcze dał się wciągnąć w podejrzaną transakcję. Komu się dał wciągnąć? Otóż to pytanie wprowadzi nas w dramat, który literacko rozegrany został najlepiej. Nie wiemy tego bowiem ani my, ani czytelnicy, ani bohater, który poznaje tylko pojedyncze ogniwa całego łańcucha, pozwalające przypuszczać, że ten łańcuch naprawdę istnieje.

Jeśli jednak istnieje, jest nieuchwytny. Jerzy ociera się najpierw o luźne fakty, potem fakty zaczynają się w niejasny sposób wiązać, tworzą jakąś rzeczywistość, jakiś porządek ludzi i spraw może wreszcie jakąś mafię? Zaczyna domyślać się w każdej rozmowie dwuznaczników, jakichś aluzji, ostrzeżeń, rośnie jakaś groza, niebezpieczeństwo, bezbronność wobec anonimowej, niepoznawalnej siły. Siły tej być może nie ma w ogóle. Jerzy zdaje sobie z tego sprawę, ale znajduje się w sytuacji, w której boi się być śledzony, więc śledztwo dookoła siebie podejrzewa. Bardzo dobrze, że Szewczyk nie zdecydował się na wprowadzenie zorganizowanej grupy kryminalistów, o której wiemy na pewno, że była, kradła i możemy wykazać jej uczestników. Nie, to odbywa się w sposób bardziej skomplikowany i nieuchwytny. Nie ma oddzielnej grupy przestępców odróżniających się od uczciwej reszty, wszystko jest przerosnięte, powiązane niedostrzegalnymi nićmi, żaden kodeks nie umiałby oddzielić sprawiedliwych od niesprawiedliwych. Świat przestępczy nie wyodrębnia się w egzotyczne środowisko z romantycznej powieści, ale żyje wewnątrz świata oficjalnego, a nawet więcej jeszcze: uczestnik afery z blachą żyje w duszy każdego mieszkańca miastecz-

ka. Tajemnica, która Jerzego otacza, miesza jednocześnie w jego własnej świadomości, on sam w pewnej chwili nie wie czy już należy do szajki i chce się z niej wyrwać, czy też usiłuje nie dać się wciągnąć. Kafka oczywiście patronuje temu po myślowi literackiemu, co nie stanowi zarzutu, lecz jest argumentem pochwały.

Czy powieść ma jakiś sens społecznikowski? Chyba tak, autor niejeden raz daje do zrozumienia na czym polega sprawa: włazieś między wrony, krakaj jak i one. Ale zarazem dodaje, że wrony są wszędzie, więc każdy z nas musi krakać na swój sposób. Albo też pozostaje nam wyjechać na zawsze z lubuskiego Łagowa. Ale czy taki wyjazd naprawdę jest możliwy?

W powieści w każdym razie wyjazd oznacza klęskę. Osaczony bohater porzuca miasteczko, rezygnuje z pozostałych dni urlopu i wraz z Marią, która wreszcie przyjechała, wyrzeka się wakacyjnej sielanki. Albowiem pismo mówi: żyć w społeczeństwie i być wolnym od społeczeństwa nie można. Wilhelm Szewczyk zauważył, że teza sprawdzić się może w dość nieoczekiwanych warunkach.

Wilhelm Szewczyk „Wyprzedaż samotności” str. 291, Wydawnictwo „Śląsk” – 1959 r., wyd. II – 1960 r.

JAN KOPROWSKI

DWIE POWIEŚCI EUGENIUSZA PAUKSZTY

W r. 1947 Eugeniusz Paukšta wystąpił z debiutem powieściowym „Trud ziemi nowej”. Zapamiętajmy tę datę. Był to okres, kiedy w literaturze polskiej panowała bodaj niepodzielnie proza martyrologiczno-obozowa, kiedy nikt z pisarzy poza jedynym chyba Jerzym Andrzejewskim w „Piole i diamencie”, nie odczuwał potrzeby sięgnięcia po temat współczesny, temat ak-

tualny. Tym pierwszym autorem okazał się Eugeniusz Paukšta, a jego pierwsza powieść „Trud ziemi nowej”, podjęła problem naczelny naszej nowej rzeczywistości: problem repatriantcko-osiedleńczy. Przecież to właśnie wtedy dokonywał się ów wielki ruch migracyjny: Polacy ze wszystkich stron ścigali do kraju i zasiedlali ziemię odzyskaną na zachodzie i północy. Paukšta podjął więc temat świeży, na wskroś nowy, jakiego nie знаła nasza literatura, bo w tych rozmiarach nie nasunęła go nigdy historia.

Nie był to ze strony młodego pisarza, rodem z Wileńszczyzny, akt odosobniony,

sporadyczny. Okazało się, że i następna jego książka „Trzecia zmiana” dotknęła spraw, które w parę lat później, w wyniku wielu różnych błędów w dziedzinie polityki kulturalnej, miały zaciążyć ujemnie na rozwoju naszego pisarstwa: dotknęła spraw produkcji. I tak się zaczęło. Paukšta, poza paroma powieściami o tematyce historycznej, w swoim dorobku prozatorskim obracał i obraca się do tej pory głównie i przede wszystkim w sferze zagadnień życia współczesnego. Ale pojęcie „życie współczesne” jest rozległe i może dotyczyć zarówno spraw polskich jak i obcych. Współczesność u Eugeniusza Paukšty jest skonkretyzowana i ujęta precyzyjnie. Paukštę interesuje życie współczesne i człowiek współczesny na polskim zachodzie, a jeszcze ściślej: na Ziemi Lubuskiej, gdzie jak w soczewce ogniskują się ważne wydarzenia i przemiany tak charakterystyczne dla naszego powojennego życia. Mam tu zwłaszcza na myśli dwie jego, ogłoszone niedawno powieści: „Pogranicze” i „Wszystkie barwy codzienności”.

II.

Gdyby ktoś nie znający dotychczas dorobku powieściowego Paukšty, zaczął lekturę jego książek od „Pogranicza”, jedna rzecz musiałaby go zdumieć, a nawet wprawić w podziw: wyśmienita znajomość realiów i niesłychane ich bogactwo. Akcja powieści dzieje się, jak wskazuje sam tytuł, na terenie pogranicza (babimojskiego), owego specyficznego obszaru na styku dwu kultur: polskiej i niemieckiej, gdzie wszystko jest bardziej poplątane, niż w jakimkolwiek innym rejonie czystym etnicznie i pod względem politycznym znacznie mniej skomplikowanym.

„Pogranicze” obejmuje dzieje Babimojszczyzny na przestrzeni dwudziestu paru lat (od zakończenia pierwszej wojny światowej do upadku hitlerizmu i powrotu tych ziem do Macierzy w 1945 roku). W pierw-

szej części powieści „Gloria victis” autor kreśli obraz Powstania Wielkopolskiego, które rozprzestrzeniło się również na ziemię babimojską. Od nadziei związanych z sukcesem walk powstańczych do klęski jaką był Traktat Wersalski, którego postanowienia rozdarły ziemię tę na dwie połowy: jedną z Babimostem oddając Niemcom, drugą ze Zbąszyniem pozostawiając Polakom — cały ten trudny czas lat 1918-19 umiał Paukšta, pisarz średniego pokolenia, znający materiał jedynie z archiwów i licznych rozmów z ludźmi, odtworzyć z dużym autentyzmem i sugestywnością. Druga część powieści „Heilige Ostmark” to okres lat dwudziestych doprowadzony aż do zwycięstwa hitlerizmu w 1933 roku. Okres dla Polaków trudny, najeżony niebezpieczeństwami, ale też pełen walki i sukcesów, jakie miał wówczas do zanotowania działający w Niemczech Związek Polaków. Paukšta plastycznie i przekonująco kreśli sylwetki działaczy starych i młodych, poczynania różnych towarzystw polskich, które wówczas mogły jeszcze działać. Trudny i skomplikowany, ale i barwny to obraz, roztaczający przed naszymi oczami kawałek dziejów. Nie trzeba chyba przypominać, jak na życiu pogranicza odciskały się wszelkie poczynania polityczne, jak na życie owego niewielkiego przecież zakątka wpływały wielkie wydarzenia na świecie i tzw. wewnętrzna polityka Niemiec Weimarskich, które coraz bardziej pograżały się w chaosie, ustępując w końcu miejsca eksterminacyjnej polityce Hitlera.

Trzecia i ostatnia część powieści „Swastyka i rodło” to właśnie ów okres najcięższy: wzmagający się gwałt i prześladowania, czarna noc dla Polactwa w Rzeszy Niemieckiej. Jednakże obraz nie byłby pełny, gdyby autor nie uwzględnił oporu i walki, podejmowanej przez uciskanych i prześladowanych. Polacy nie dawali za wygraną w najcięższych nawet chwilach. Rzecz jasna w miarę rosnącego terroru zmieniały się również formy tej walki: od jawnego buntu i protestu aż po działanie

o charakterze konspiracyjnym, spiskowym w latach wojny.

Powieść Paukszty zamyka opis klęski Rzeszy Niemieckiej: marsz wojsk polskich i radzieckich, wyzwalających tereny Babi-mojszczyzny jest akcentem triumfu i zwycięstwa nad siłami przemocy. W utworze Paukszty występuje wiele osób: są tam postaci główne i epizodyczne, są Niemcy i Polacy, a wśród jednych i drugich obok ludzi małych, są ludzie dzielni i szlachetni. Nie jest to uproszczony obraz czasu i jego bohaterów. Zrozumiałe, że więcej miejsca udzielił autor stronie uciskanej. Nie mogło być inaczej. Silnego broni jego siła, uwaga i serce pisarza należą się tym, którzy — wedle słów Camusa — zdani są na łaskę i niełaskę rządzących.

„Pogranicze” Paukszty to piękny pomnik, wystawiony ludziom znanym i bezimiennym, których walka, ofiara i poświęcenie winny być żywe i przytomne pokoleniu dzisiejszemu. Gdybym miał powiedzieć kilka słów krytycznych o tej książce (a uczynić to trzeba, nie chcemy przecież napisać przypochlebnego panegiryku), jako główny zarzut wytoczyłbym to, co można nazwać nadmiarem i przerostem opisu. Dotyczy to reszta i innych książek Paukszty. Pisarz daje się uwieść wielosłowiu. Ponośi go i urzeka jeszcze jeden szczegół, jeszcze jeden rys, który może dorzucić do istniejącego obrazu, niekiedy bez żadnej potrzeby, a nawet ze szkodą dla wyrazistości czy wymowy przedstawionego konfliktu. Paukszta posiada temperament realisty, gromadzącego jak skrzętna mrówka wszystko, co może się przydać. Nie wszystko się przydaje, są rzeczy, które mącą bieg narracji i zacierają (wbrew intencjom autora) kontury działających postaci. W równym co najmniej stopniu zarzut ten dotyczy następnej powieści „Wszystkie barwy codzienności”.

III.

„Wszystkie barwy codzienności” są powieścią na wskroś współczesną, bowiem

akcja jej rozgrywa się po prostu i dosłownie dziś. I również za teren akcji ma umiłowaną przez pisarza Ziemię Lubuską. Jesteśmy w małym miasteczku, a może tylko w większej osadzie, położonej gdzieś między Sulechowem a Nową Solą, gdzie osiedlili się ludzie z różnych stron kraju, ba, dołąd przybyli repatrianci z dalekiego świata, bo na przykład, z Kanady. Paukszcie chodzi tu o pokazanie dnia codziennego: co ludzie robią, jak żyją, czym wypełnia się ich czas w pracy, jakimi myślami i problemami, a czym w domu — kiedy wrócą do żon i dzieci, czy też do swoich samotnych kawalerek. „Wszystkie barwy codzienności” to jakby przekrój dnia Rzeczypospolitej, z tą jedynie poprawką, że rzecz dzieje się na Ziemiach Zachodnich, gdzie barwy są bardziej intensywne i konflikty bardziej napięte. Rozległość obserwacji i wnikliwość posunięta aż do pedanterii, z jakimi Paukszta prowadzi swych bohaterów przez małe i wielkie wydarzenia, godne są bez przesady, najwyższych pochwał. Można powiedzieć, że Paukszta bez reszty zanurzony jest w tym, co nazywamy potokiem codziennego życia ludzkiego. A interesuje go dosłownie wszystko: praca i rozrywka, wiec i zabawa, miłość i bójka, rozbudowa szpitala i kradzież na budowie, tęsknota i zazdrość, zawiść i współczucie. Nie ma takiej sprawy i takich uczuć, dla których Paukszta, ciekaw życia i ludzi, nie nadstawiłby ucha i nie skierował na nie swego spojrzenia. Są we „Wszystkich barwach codzienności” sceny świetne i namiętności ludzkie, ukazane głęboko i prawdziwie. Na przykład postać starego Koniejenki, który dostał wreszcie na zachodzie ziemię na własność i który właściwie zginął z wielkiej do ziemi tej miłości. Niektóre opisy przywodzą na pamięć „Zorany ugi” Szolochowa. Albo postać Kanadyjczyka, który przebył kampanię wojenną z dala od kraju i osiadł tutaj, by organizować życie swoje od nowa. Udał się ten Kanadyjczyk Paukszcie. A ileż ciepła potra-

fil autor przydać Marii, z którą zapewne Okińczyc (czyli ów Kanadyjczyk) zwiąże swoje życie. Jakże zabawną a może wręcz tragicomiczną postacią jest pani Kirgielowa, która obnosi się wszędzie ze swoją genealogią, wywodzącą się ponoć od rycerzy grunwaldzkich i nawet jedzie ona na uroczystości grunwaldzkie na Mazury, pełna głębokiej dumy i zadowolenia z własnego losu.

Nie zliczyć tych postaci, tych spraw i tych konfliktów w powieści Paukszty zawartych. Tu i ówdzie wyskoczy autor z jakąś refleksją, z jakąś pyrdumką w rodzaju: „Za długo tu ludzie śpią, zbyt późno wstają, nie umieją gospodarzyć swym czasem. Nazbyt się wiele walcnią, narzekają potem, nie wiedząc, jak wiele od nich samych zależy”.

Ale to są raczej rzadkości. Paukszta jest pisarzem — sensualistą. Jego domeną są obserwacje, wrażliwość na urok i uroki świata, odczucie przyrody i pejzażu, zakochanie się w świecie widzianym i naszym zmysłom dostępnym. Powiem, że żaden ze współczesnych pisarzy polskich nie zna tak kraju i jego życia jak Eugeniusz Paukszta. A jednocześnie o żadnym z autorów krytyka nie pisała tak mało, jak właśnie o nim. Oto są paradoksy naszego życia literackiego. Widzę w tym pewną pogardę dla realizmu, lekceważenie rzeczywistości. Większe zainteresowanie naszej krytyki budzi świat wydumany, niż ten, który jest: świat rzeczywisty.

Przez wszystkie utwory pisarza przepływają „wszystkie barwy codzienności”, a utworów tych napisał ten nie stary przecież autor (ur. w 1916 r.) bez mała dwadzieścia. I to nie żadne tam małe opowiesci. Każdy tom zawiera co najmniej 300 stron bitego druku. Jest to więc pisarstwo solidne, oparte na rzetelnych podstawach i konkretnej znajomości opisywanego świata.

IV.

Wspomniałem już, że „Wszystkie barwy codzienności” obciążone są wadami. Nie chciałbym zamknąć recenzji bez wskazania na to, co moim zdaniem, osłabia wartość tej cennej i ciekawej powieści. Otóż w jeszcze większym bodaj stopniu, niż „Pogranicze” cierpią na przerost szczegółu „Wszystkie barwy codzienności”. Wyraża się to również w samej materii językowej. Paukszta ma ogromne wyczucie mowy potocznej. Do powieści swojej pakuje całymi garściami owe zasoby potoczności, które bez staranniejszej selekcji stają się nie tylko uciążliwe, ale nade wszystko gubią i roztapiają w sobie cenniejsze fragmenty i opisy. Dalej: doprowadzają do niechlujności stylistycznej. Paukszta zawiera za dużo żywiołowi mowy i języka. A chciałoby się, by styl i język były oszczędniejsze, bardziej wypracowane, na czym zyskałaby zarówno strona problemowo-treściowa, jak i artystyczna i formalna.

Paukszta jest pisarzem spontanicznym, żywiołowym. Może to właśnie chroni go przed manierą, w którą — mimo wspomniane uchybienia — nie popadł. I, miejmy nadzieję, nie popadnie. Wyjątkowa znajomość opisywanych spraw, wrażliwość i ciekawość ludzi i świata, pozwolą mu zachować świeżość i autentyzm, tak cenne w każdym materiale pisarskim, dotyczącym problemów i zagadnień współczesności.

Eugeniusz Paukszta „Pogranicze”, Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1961 rok.

Eugeniusz Paukszta „Wszystkie barwy codzienności” Poznań, Wydawnictwo Poznańskie, 1961 r.

FELIKS FORNALCZYK

POD ZNAKIEM MIEJSCOWEJ EGZOTYKI

1.

Jest to powieść sensacyjna, ale w lepszym tego słowa znaczeniu. Ze względu na tematykę, miejsce akcji i bohaterów adresowana przede wszystkim do młodego czytelnika, choć i dorośli przeczytają ją z zainteresowaniem w chwili wypoczynku. Eugeniusz Paukszta, podobnie jak w wielu swoich poprzednich powieściach współczesnych, położył w tej swojej nowej książce nacisk na wartką fabułę, na ukazanie miejscowej egzotyki.

2.

Dla uzasadnienia takiej oceny przytaczam szczegółowe streszczenie. Rzecz odbywa się w całości na terenie województwa zielonogórskiego; zresztą przeprowadzony wątek sensacyjny obejmuje spory szereg autentycznych miejscowości tego regionu, zahaczając poprzez osobiste losy głównych bohaterów również o Poznań, Koszalin i częściowo Warszawę. Zasadnicze wydarzenia powieści mają miejsce w okolicach Międzyrzecza, są też dość przekonująco osadzone w zasadniczej problematyce dawnego Pogranicza, zwłaszcza Babimojszczyzny.

Czas akcji został rozciągnięty na kilka miesięcy lata i jesieni, jednego roku. Rok nie został określony, ale to nie jest istotne — wszystko tu bowiem dotyczy spraw dzisiejszych, współcześnie się rozgrywających. Pretekstem stwarzającym sytuację powieściową „Znaku Żółwia” jest „kraksa” samochodowa, w której poszkodowani pasażerowie — autostopowicze są zmuszeni za-

trzymać się dla odbycia kuracji na wsi, koło Międzyrzecza. Zostają tu na całe lato i jesień, stając się mimowolnymi uczestnikami sensacyjnych wydarzeń. Cała powieść to właściwie letnia przygoda owych autostopowiczów i żywo zaangażowanych w niezwykle zdarzenia mieszkańców wsi. Tak się składa, że główna rola przypadła młodym bohaterom.

W tym gronie sympatie autorskie nierówno zostały rozdzielone — z reguły dobrzy i dzielni są chłopcy, zdecydowanie odsądzone od czci są dziewczęta, piękne one i zgrabne, ale raczej puszczałskie. Reprezentacja starszego pokolenia występuje w powieści także w dość nieskomplikowanej, czarno-białej odmianie charakterów. Kobiety jednak, są tu prawie niewidoczne, nie ma ani jednego bardziej wyrazistego portretu żony, matki. Znamienne jest przy tym układanie działających postaci według grup zawodowych, według środowiska. Na grupę wieku zwracałem już uwagę poprzednio.

Powieść rozpoczyna się od opisu wariackiej jazdy „Stara” i katastrofy. Ale te dwa początkowe rozdziały powieści są najmniej pociągające, jak gdyby pochodzące z innej całości. Język narracji daleki tu jest od elegancji, przeciwnie, autor stara się na potęgę naturalizować, bohaterzy ukazani są w sosie niesmacznego cwaniactwa. Dziewczę z szoferki występuje więc tu pod wdzięczną nazwą „siksy”. Wypadek samochodowy, jak mówi zawiadaczka kierowni „Stara”, skończył się na „strachu i mokrych majtkach u panny”. Z opresji ratuje towarzystwo traktorysta, obowiązkowo piegowaty. On to pomaga wyciągnąć z rowu rozbitą ciężarówkę, przy tej okazji nawiązuje się znajomość poszkodowanych z wybawcami, toczy się niewybredna w słowach i zakresie rozmowa, schodzi też niebawem na temat nowej, świeżo poznanej dziewczynki. Jest to ta sama dziewczynka, która opatrywała rannych w punkcie PCK. Nastrój stręczycielstwa, gwara oprychów... Cielują w tym chłopcy w wieku szkolnym.

Pojawia się lekarz, nastrój poufałości trwa nadal. Doktor nastawia zwichniętą nogę Romanowi, „wskoczyła jak prosię do koryta”, to słowa lekarza. Chory powinien teraz poleżeć, ostatecznie zostaje w domu rodziców owego cwane go kuzynka sanitariuszki Krystyny. Oto znamieny portret gospodarza: „czerstwy był, żyłasty, jeden z tych chłopów, których jak mówi przysłowie, podobnie jak zajaca i kijem nie dobiejesz...”

Talent narratorski autora zdaje dopiero egzamin w partiach, przedstawiających uroki życia wiejskiego: jezioro, ryby, pola, las... Do tego dochodzą tajemnicze bunkry i opuszczony pałac. Refleksja tu goni refleksję, wspomnienie inne wspomnienia. Ludzie zbierani zewsząd, złączeni różnymi przeżyciami. Tak, to jest rzeczywiście krajobraz ziem zachodnich. Rozpoczyna się to naprawdę dopiero w III rozdziale.

W grę wchodzi niebezpieczeństwo zbliżającej się powodzi. Trwa gorączkowa praca przy wzmocnianiu wałów i zabezpieczaniu dobytku. Przytrafia się idiotyczna historia podczas ratowania, kończąca się jednak dobrotliwie. Przygoda ta zbliża jednego z autostopowiczów do nowej dziewczyny ze wsi, Haliny. Ale i ona — podobnie jak uprzednio Krystyna — ma także swego innego adoratora.

Przybysze postanawiają dobrowolnie pomagać gospodarzom w rybnactwie w zamian za utrzymanie. Towarzyszem Romana i Heńka jest Wiesiek, student historii, archeolog. Okazja więc do dygresji natury historycznej. Tym niemniej, a może dlatego właśnie, bohaterom powieści poczyna się udzielać nuda. Ratunek we flirtcie z dziewczętami, lecz w tym zakresie wchodzić sobie wzajemnie w paradę. Owe nad miarę żywe i cwane niedorostki, których poznaliśmy w drugim rozdziale powieści, Benek i Tolek, spowodowali tymczasem wybuch poniemieckiego pocisku — trochę to ożywia akcję. (Pomysł na rozerwanie czytelników?). Znowu miłości, łapanie raków, przygoda z klu-

sownikami na rzece, potem napad na zabawie. Ten wątek zapowiada właściwe wydarzenia. Niemrawe, bo niemrawo poczyna się rozkręcać intryga.

Lecz wszystko, te małe i większe wydarzenia, toną w drobiazgowej opisowości — ciągnie się to tak przez szereg rozdziałów następnych. Ludzie, których mamy w polu widzenia w powieści, to w gruncie rzeczy dobrzy ludzie, poczciwi, skrajne przeciwieństwa pomiędzy nimi dopiero się wykluwają. Zasada takiego podziału jest dość schematyczna. Ale nie może być inaczej w powieści, która w sensacyjnej formie stara się forsować pewne racje moralne, która w założeniu autorskim jest dydaktyczna. Na to wiele dowodów w tekście. Ten „doszywany” wypadek „Stara”, owe żalose wtki zarzdoci zakochanych, wreszcie owe wkręty nauki dziejów ojczystych i wiedzy o współczesnej młodzieży.

Że tak jest, potwierdzający cytat: „Moralność to wcale nie proste kanony, to cholerna mozaika postaw, sytuacji, nastrojów” — głosi Roman. Ale choćby ten jeden przykład wskazuje, że przewody intelektualne nie należą do mocnych stron warsztatu literackiego Eugeniusza Paukszty. Stąd też to wszystko, co dotyczy zagadnień ogólnych, patriotycznych i moralnych, jest dopisywane zwykle „na siłę”, stanowi oddzielną koncesję w powieści.

Ogromnie dużo różnych elementów literackich i intencjonalnych składa się na tę powieść. Paukszta nie majoryzuje od razu jakiejś jednej sprawy czy wątku. Ciągłe czekamy na coś dla powieści decydującego — i dość długo to oczekiwanie nie jest zaspokajane. Trzeba jednak przyznać, że jeśli się już przebrnie przez początkowe rozdziały, okoliczność ta — owo podtrzymywanie zniecierpliwienia — może dać satysfakcję czytelnikowi.

Tragedia przychodzi nagle: jest nią utonięcie owego szlachetniejącego w miarę rośnięcia powieści urwisa wiejskiego, Benka, ukazane zresztą w doskonale napisanej

scenie. Ta scena, przygotowana drobiazgową prezentacją bohaterów i dość przegadanymi opisami środowiska, rehabilituje całkowicie wszelkie żymanie się i pretensje do autora. W trakcie akcji ratunkowej, odbywającej się w przejmujących i intrygujących okolicznościach, okazuje się, że chłopiec przypadkowo nie utonął. Półżywego odnalazł Roman po wielokrotnym nurkowaniu, w ukrytym pod nawisem podwodnym tunelu. Wspaniała postawa walczących o życie chłopca ludzi zmienia się nagle w momencie nie powracania spod wody Romana. Ale wtedy okazuje się na powierzchni Roman z wiadomością, w którą trudno od razu uwierzyć. Paukszta wychodzi jednak zwycięsko z tej próby. Ukazane przez niego wydarzenia przekonują.

„Autochton” Późny zdradza teraz tajemnicę podwodnej jaskini. Była tam specjalna budowla wojskowa, tajna, przeznaczona dla sztabu SS. Ale to tylko zewnętrzna, niepełna prawda. Co w środku? Jak wygląda podziemne (podwodne) urządzenie bunkra? I ta sprawa wysuwa się teraz na czoło wydarzeń powieści. Odtąd wszystko jest w opowiadaniu ważne. Czytelnik zostaje ostatecznie zdobyty.

Jak mgła płacze się znowu sprawa rozrachunku z bandą kłusowników, ale na pierwszym miejscu jest zagadka pałacu, lochów osnutych legendą, strachem... W podziemną jaskinię wyprawiają się ponownie nasi bohaterowie — kusi tajemnica i nadzieja znalezienia skarbu. Ukazuje się widmo Białej Pani. Lecz to nie duch, to przebrany żywy człowiek, magazynier, postać zgoła podejrzana, splatająca się równie tajemniczymi powiązaniem z resztą szwarcycharakterów powieści. Magazynier działa z polecenia rządcy majątku. Coś się za tym znowu kryje? Co??

Przybywa wreszcie oczekiwana ekipa archeologów — a równocześnie poczynają się rozchodzić coraz szerzej wiadomości o napadach rabunkowych. Komplikuja się także sprawy osobiste Krystyny i Romana. Naraz alarm: płonie zniszczone skrzydło pałacu,

zajęte na magazyny PGR, pod którymi znajdują się właśnie owe tajemnicze podziemia. O spowodowanie pożaru podejrzani są rządcą, jego kuzyn Stefan i magazynier. Wspólnicy obwiniają jednak ostatecznie magazyniera. Alibi mają przekonywujące. Młodzi „odkrywczy” nie rezygnują przecież z ustalenia prawdy, udają się ponownie do lochów i tym razem odkrywają drugi, utajony magazyn prywatny. Tym samym tropem idzie działanie milicji. Sieci zacieśniają się ostatecznie wokół Stefana.

Z kolei chłopcy postanawiają zbadać zagadkę zalanego wodą tunelu. I to jest także niezwykle pasjonująca scena tej powieści. Na głównych bohaterów wyrastają w końcu owi dwaj urwisi, Benek i Tolek, chłopcy spod „Znaku Żółwia”, bo takie ostatecznie zawołanie przyjmuje klan amatorów wykrywania tajemnic.

Nie jest to jeszcze koniec powieści. Ostatnią swoją wyprawę „detektywistyczną” odbył w pojedynkę Benek i o mało nie przypłacił jej życiem. Owym przebiegle ukrywającym się zoczywistym bandytą okazał się Stefan. Scena starcia reprezentantów autentycznego podziemia przestępczego i jasnego świata jest melodramatyczna. Zwycięża sprawiedliwość, zbrodnia jest ukarana.

3.

Oto najważniejsze zarysy akcji powieści Eugeniusza Paukszty „Znak Żółwia”. Plan zniszczenia polskich wsi Pogranicza nosił także nazwę „Planu Żółwia”. Cała zaś powieść — jak wynika choćby z przedstawionego streszczenia — daje wystarczające podstawy, aby zaliczyć ją do pozycji typu sensacyjnego, w lepszym ich rozumieniu. Ma ona, jak starałem się wykazać, swoje gorsze strony, ale górują nad nimi strony dobre, czasem wręcz znakomite.

Eugeniusz Paukszta: „Znak Żółwia”. Iskry, Warszawa 1961, s. 267 + 1 nb. Okładkę projektował Maciej Hibner.

FELIKS FORNALCZYK

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW NADODRZA

Do męskiego grona powieściopisarzy zajmujących się tematyką historyczną Polski zachodniej dołączyła ostatnio kobieta, Janina Macierzewska. Jej pierwszy krok literacki może wywołać zdumienie — pisarka zaprezentowała się od razu dwoma książkami, które ukazały się równocześnie, jedna w Wydawnictwie Literackim („Prawo miecza i bogowie”), druga w wydawnictwie „Śląsk” („Grodzisko nad Bobrem” *). Zajmiemy się tutaj tą drugą książką, jako że związana jest tematycznie z Ziemią Lubuską.

Autorka „Grodziska nad Bobrem” zainteresowała się okresem największego znaczenia Polski w Europie, kiedy to polityka polska wpływała w znacznym stopniu na wydarzenia w sąsiednich krajach, kiedy do Gniezna, a właściwie na dwór poznański Bolesława Chrobrego, pielgrzymuje sam rzymski cesarz narodu niemieckiego, Otton III. Pielgrzymuje zresztą z określonym zamiarem dyplomatycznym, aby zjednać dla swoich spraw sympatię i poparcie władcy Polan, Bolesława.

Macierzewska nie eksponuje jednakże głównych bohaterów wydarzeń, owych rzeczywistych nosicieli idei politycznych, ponieważ i te sprawy ukazuje najchętniej poprzez spojrzenie zza kulis, przesuwające akcenty narracyjne na sposób myślenia i działania niższych urzędników obu stykających się nacji.

Naczelne miejsce w książce Macierzewskiej zajmuje gród polski Smugorze, leżący u zbiegu Kwisy i Bobru. Gród ten zajmował ważne stanowisko obronno-strategiczne w trójkącie Krosno—Smugorze—Wrocław, utrzymując łączność z Poznaniem, będąc w kontakcie z silniejszym Wrocławem. Ale

przecież mimo to, na skutek zdrady Walkisza, przyrodniego brata uprzedniego naczelnika grodu, stanica zostaje obsadzona wojskami niemieckimi, podlegającymi margrabiemu Miśni. Wielką zaiste rolę w utrzymaniu czy też powiększaniu stanu posiadania odgrywają więzy rodzinne i odpowiedzialnie ożenki, które autorka opisuje ze szczególnym upodobaniem. W porównaniu z owymi wątkami romansowo-rodzinnymi atutowe postaci historyczne, Bolesław i Otton wypadają słabo, rozmowy prowadzą deklaratywne, pozbawione zupełnie sensu gry, która przecież spowodowała wizytę Ottona. Temat, atrakcyjny jak żaden otrzymuje w powieści Macierzewskiej ekspozycję bezbarwną, uproszczoną, chłodną. W ostateczności podróż cesarza do Polski staje się epizodem w powieści. Autorka nie podjęła i innych ważniejszych zagadnień, zrezygnowała z próby ambitniejszego wykorzystania materiału historycznego.

Nie najlepszą stroną powieści jest ułożenie charakteru postaci z jej wyglądem zewnętrznym: człowiek dobry jest więc z reguły piękny, postawny; człowieka podłego charakteru autorka skazuje na jak najgorszą powłokę cielesną. Żeby było do pary. Ale to jeszcze nie wszystko. Macierzewska uznaje przede wszystkim alternatywne figury ludzkie, to znaczy bardzo szlachetne albo diablo przewrotne i zbrodnicze. Żeby było jasne. A na podobnie nieomyślnej zasadzie zostały tu także zbudowane wszystkie poszlaki i zawiązki intrygi. Jeżeli więc zwraca uwagę na ślady na błocie to wiadomo, że kręcił się tam ktoś obcy, niebezpieczny; jeśli ktoś z bohaterów nagle znika, wiadomo, że sprowadzi najezdników albo odsiecz. To zależy od charakteru.

Pisarka wielokrotnie mówi w swej powieści o Łużyczanach, o różnorodnej zbieraninie różnych plemion (np. w drużynie wojskowej, która opanowała Smugorze), ale na podstawie lektury „Grodziska nad Bobrem” nie zdołamy sobie wyobrazić tych Słowian. Są o nich wzmianki w powieści, różne osoby mówią na ich temat: a to, że

niebezpieczne i zgermanizowane, a to, że wielu pośród nich to ludzie godni zaufania, sprzyjający Polakom. Po prostu zbrakło ich pośród działających, bardziej wyraźnie odkonturowanych postaci utworu.

Sprawy Ziemi Lubuskiej występują w powieści Janiny Macierzewskiej wielokrotnie, czy to przy okazji podróży głównych bohaterów (na Międzyrzecz na przykład kierują swe kroki uciekinierzy z podstępnie zagarniętego Smugorza: Bogunka, Ziemko, Luddek, Dulej, Orzych), czy też przy okazji rozmów na księżęcym dworze (o linii nadodrzańskich grodów mówi z kasztelanem Smugorza, Pokoszem, Bolesław Chrobry). Jednego ze stałych mieszkańców poznajemy bliżej, jest to rybak-przewoźnik znad Odry. Cienko przędzie, w strachu żyje ze swoją rodziną. Więcej dowiadujemy się dopiero o ascetycznych eremitach międzyrzeckiego klasztoru. Świeckie życie poznajemy w zbudowanym na niemiecki wzór Borku (Burgu) pysznego wielmoży Włukosza...

Lecz są także w powieści Macierzewskiej sprawy, które pisarka przedstawia z ogromną uwagą i pasją. Zaliczyć do nich wypadnie przede wszystkim intrygi dostojników kościelnych przeciwko polityce Ottona i zmwę tychże samych sił, by wynieść na

tron cesarski Henryka. Niebanalne są też w powieści te fragmenty, w których autorka opisuje ścieranie się przeciwstawnych interesów obu potęg, kresową, pograniczną atmosferę życia, wielkie namiętności ludzkie, od których nie są wolni nawet panujący Piastowie, Bolesław, jego siostra Ludgarda czy też nie mniej potężni biskupi.

Co zaś najważniejsze, Macierzewska (mimo wszystkie takie czy inne pretensje) umie opowiadać, zainteresować losami bohaterów — jej powieść nie nuży, nie nudzi. Szlachetni kochankowie muszą przejść w drodze do siebie poprzez najróżniejsze zaskoki i paście, jakie autorka rozstawia gęsto według sienkiewiczowskiego wzoru. I jeśli w biografjach bohaterów poszczególnych nie brak animuszu, awanturycznej przygody, ryzyka, tak w panoramie czasów, w sposobie patrzenia i osądzania minionych epok, objawia się powściągliwość właściwa J. I. Kraszewskiemu.

Ale jest to już najwyższy stopień pochwały, jaki można nadać tej powieści.

Janina Macierzewska „Grodzisko nad Bobrem”, t. I/II, str. 288/224. Wyd. „Śląsk” 1960 r., cena zł 30,—

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

ZIEMIA LUBUSKA W KLECHDACH POLSKICH

„Klechdy domowe” w sumiennym opracowaniu Hanny Kostyrko nawiązują do bogatej, polskiej tradycji zbiorów podań i baśni ludowych, zapoczątkowanej — gdy idzie o szeroki, czytelniczy rezonans społeczny tych książek — przez nieprześląconego „Bajarsza polskiego” Glińskiego. Można by tę antologię nazwać „literaturą przymierza pokoleń”, w tym samym bowiem stopniu cieszą baśnie ludowe (one bowiem

stanowią fundament i omawianej publikacji) wyobraźnię dzieci i dorosłych, a nadto stanowią jedyną w swoim rodzaju dokumentację realiów historycznych i obyczajowych, tendencji moralnych, niekiedy zgoła moralizatorskich, zapisanych w pamięci i sercu anonimowych często bazarzy.

Wszystkie te walory można odnaleźć również i w „Klechdach domowych” z tym, że baśnie wybrane do tego zbioru przez Hannę Kostyrko prezentują swym miejscem powstania i zasięgiem oddziaływania wiele szersze — w sensie geograficznym i folklorystycznym — środowisko, niż dotychczas publikowane antologie tego rodzaju. Obok

więc tradycyjnych już krakowskich, mazowieckich czy podhalańskich motywów i wątków baśniowych pojawiły się w omawianym zbiorze mało dotychczas popularyzowane legendy pomorskie i wielkopolskie oraz podania Dolnego Śląska, Warmii i Mazur. Do tej ostatniej grupy baśni — prezentującej ziemie z dawna polskie, aże po roku 1945 dopiero odzyskane — wypada także zaliczyć trzy opowieści lubuskie, opublikowane po raz pierwszy w „Klechdach domowych” przez Zygmunta Rutkowskiego i Irenę Solińską: „O gubińskich karzełkach”, „O Skarbniku ze Srebrnej Góry” i „O dzikim rycerzu znad Nysy”.

Nie są to zresztą jedyne baśnie z lubuskiego kręgu tematycznego, wątki pokrewne podaniom opracowanym przez Rutkowskiego i Solińską, a zwłaszcza przez Izabellę Koniusz w „Złotej dziedzie Bolesława” można odnaleźć i w innych, szczególnie wielkopolskich i dolnośląskich klechdach, jednakże trzy wymienione utwory wydają się nabierać w zestawieniu z pozostałymi wyjątkowego, nie tylko regionalnego znaczenia.

Jest bardzo charakterystyczne, że aż dwa podania Rutkowskiego i Solińskiej zostały osnute na wątkach historycznych, by nie rzec patriotycznych. „O gubińskich karzełkach”, a zwłaszcza „O dzikim rycerzu znad Nysy” nawiązują do początków polskich dziejów Ziemi Lubuskiej, do walki z markgrafem Geronem, wyraziście odzwierciedlającej zmaganie się na tych terenach żywiołu polskiego i niemieckiego. Nagroda za wierność, a kara za zdradę własnego kraju — oto zgoła niebaśniowy, bo ujęty w kategoriach i motywacjach na wskroś realistycznych, morał tych opowieści, opracowanych zresztą z chwalebą dyskrecją emocjonalnego i lapidarnością artystycznego wyrazu. Taka interpretacja i kostium historyczny morału spokrewnia obie opowieści najsilniej właśnie z baśniami północnej i zachodniej Polski.

Inne koligacje oplatają opowieść „O Skarbniku ze Srebrnej Góry”. Osnuta ona

została na bardzo zasiedziałym w polskiej baśni, zwłaszcza na Mazowszu i w Krakowskiem, wątku fabularnym: obdarowanie biedaka skarbami i ukaranie go za zdradę ich tajemnicy — to historia bardzo zwykła w naszym podaniu i legendzie. I tu jednak lubuską opowieść wiąże stosunkowo najściślej ze śląskimi baśniami postać srebrnogórskiego dobroczyńcy — Skarbnika, popularnego bohatera bajań i anegdot górniczych, w legendzie Rutkowskiego i Solińskiej zachowującego się zresztą bardziej okazale i dostojnie.

Już ta pobieżna analiza tematyki podań lubuskich wskazuje, że nie wyłamują się one z kręgu historycznych, obyczajowych i moralnych zainteresowań baśni polskiej, a tylko ów krąg poszerzają i wzbogacają. Podobne spostrzeżenia nasuwa refleksja nad aurą emocjonalną i fakturą artystyczną legend, opracowanych przez Rutkowskiego i Solińską. Jest to aura — szlachetnego, humanistycznego moralitetu, obca sadystycznej perwersji sagi germańskiej i skandynawskiej, nie ustępująca jej natomiast wrażliwością na (przeradzającą się raz po raz w tragizm) dramatyczność konfliktów narodowych i społecznych. Równie polskim wydaje się profil artystyczny „O gubińskich karzełkach”, „O Skarbniku ze Srebrnej Góry” i „O dzikim rycerzu znad Nysy”: plastyka realiów, jędrność charakterystyki postaci, zwartość i oszczędność narracji — wszystko to sprawia, że opracowane przez Rutkowskiego i Solińską legendy nie ustępują walorami artystycznymi baśniom innych regionów Polski.

Te trzy utwory, jak również dwa zbiory baśni opublikowane przez Lubuskie Towarzystwo Kultury, wskazują wyraźnie na wyjątkową wartość społeczną i artystyczną utrwalającej się bodaj najciekawiej w baśniowym kształcie ludowej literatury tego, zniekształconego dotąd przez niemieckich, a zapomnianego nadal przez polskich etnografów i literaturoznawców, regionu. Tym śpieszniej i troskliwiej należałoby więc

pomyśleć o zbiorowej, możliwie najbardziej wyczerpującej edycji baśni lubuskich, która — posiadając tak bogate zaplecze autor-
skie i rezonans czytelnicy — na pewno do-
brze zrealizowałaby rysujące się przed taką

publikacją obowiązki społeczne i perspek-
tywy artystyczne.

„Klechdy domowe” — podania i legendy, zebrała
Hanna Kostyrko. Drzeworyty Zbigniewa Rychlic-
kiego, str. 322, Instytut Wydawniczy „Nasza Księ-
garnia” Warszawa 1960, cena zł 30,—

BOHDAN DROZDOWSKI

PISANE NA WODZIE

Poeci w typie Koniusza nie mają moc-
nych szans na giełdzie literackiej. Po pierw-
sze dlatego, że są „daleko”. Po drugie
dlatego, że nie mają wysokich protektorów.
Jeden Julian Przyboś ze swoją recenzją
opublikowaną w „Nadodrzu” niczego zmie-
nić nie jest w stanie. Koniusz pozostaje
poetą zupełnie nieznanym. A jest to na-
prawdę bardzo interesujące zjawisko. Nie
leci stadem, nie dziwaczy, nie jęczy, nie na-
śladuje, jest sam z siebie, nie ogłasza przy
byle okazji, że najpierw był Szekspir, po-
tem on, jak czynią inni, znający skuteczność
metody wrabiania otoczeniu „samodefini-
cji” popartej pewnym rozgłosem, nie zo-
hydza świata i go nie upiększa, po prostu
patrzy na świat, patrzy utalentowany, więc
czuły bardziej niż zwykli czytelnicy wierszy,
odkrywco, dodając jeszcze jeden dźwięk
do niezmiernego bogactwa tonów poezji,
która jest podobno duszą ziemi. Czasem
odnosi się wrażenie, że Koniusz wybiera
sobie drogę najbanalniejszą pod słońcem,
że chce jeszcze raz nazwać rzeczy i kraj-
brazy dawno ujrzone i zapamiętane, czyni
czasem jak człowiek, który nie przeczytał
przedtem ani jednej litery, jak by od niego
zaczynał się opis tego co widać i co daje
się odczuwać. Jest to jedna ze starych me-
tod poetyckiego tworzenia, wychodząca z

założenia, że każdy człowiek widzi inaczej,
rzecz w tym, aby „odpowiednie dać rzeczy
słowo”. Zwyczajne krople obdarzy siłą sło-
necznych korzonków światła, które następ-
nie wschodzi promykami traw oglądają-
cych — nim osłepną krople — gasnący
ślad przelotu. Wiersz jest tak bardzo świe-
ży, że budzi w czytelniku zdumienie, iż
wcześniej nie potrafił odkryć tych prostych
zależności między promieniem — korze-
niem — trawą. Poezja przecież nie zawsze
musi podnosić problemy gigantyczne. Nie-
kiedy przeciwnie — w tak drobnym na po-
zór poetyckim odkryciu — ziemia z jej pra-
wami otwiera nowe wartości, źródła wzru-
szeń dotychczas nie nazwanych. Czasem
zresztą Koniusz — może to wynik niezbyt
wnikliwego przypatrywania się słowom, któ-
re wypływają z pióra — mechanicznie po-
trąca będące stale w pogotowiu, więc naj-
bardziej wysłuchane hasła, które w zestawie-
niu z nowym walorem wiersza — po prostu
rażą, są z lamusa, a nic tak jak poezja nie
znosi bicia w zardzewiałe blachy. W oma-
wianym liryku „Krople” zjawia się „platy-
nowy deszcz” — zupełnie jak z tanga. Gdy-
by utwór ten brzmiał w ten sposób:

*Spotykają się na krawędzi słońca
spadają deszczem*

*wsiąkają w ziemię korzonkami światła
wschodzą promykami traw*

*nim osłepną
oglądają gasnący ślad przelotu —*

Recenzje

nikt, jak sądzę, nie mógłby mu zarzucić najmniejszego uchybienia przeciwko którejkolwiek z „zasad” dobrej poezji. Proszę pod tym słowem rozumieć aktualny stan poczucia estetyki, pewien obiegowy — ale tylko w wyrobionych sferach literackich, lansujących nowe widzenie — tryb oceny wartości wiersza. Jest jasne, że wiersz ten rozpatrywany z punktu widzenia estetyki poetyckiej Wincentego Pola musiałby zostać zdyskwalifikowany. Ta zaś estetyka jest jeszcze panująca w tzw. szerokich rzeszach czytelnicznych, stąd moje obwarowanie jej wzmianką o „wyrobionych sferach” — tu traktowanych z należnym szacunkiem.

W tomiku „Ślad przelotu” znajduję wiele wierszy, które po prostu mi się podobają. Mam, jak każdy czytelnik wierszy, własny punkt widzenia, mam prywatne wymagania wobec tego, co nazywam współczesnym wierszem, ale bynajmniej nie znaczy to, że jestem za jedną poetyką, za monogamią formalną czy ideową. Poeta jest instrumentem zbyt wrażliwym, aby nie miał prawa do zmiany nastrojów — w zasadzie nastroju nie zmienia. Pisze z dystansem, pisze ze świadomością nieważkości swojej roboty we współczesnym świecie, o którym przecież wie znacznie więcej, niż chce to wyrazić. Wydaje się, że ci, którzy kuszą się o pełne wyrażenie współczesnego świata skazani są na śmieszność, koturn, klęskę, wariactwo. Świat niekiedy maleje w oczach poety do wymiaru kropli. Obserwować kroplę i w niej szukać schronienia dla zmęczonych oczu — to może być zajęcie wcale nie apolityczne. Jest to ucieczka nie duża, ucieczka bez perspektyw, jest to po prostu taki sobie weekend duszy. Jak tu:

*Spotykamy się w cieniu ptaka
i w blasku chmury
Siadamy na gałęzi z brązu
pod nastonecznionym sklepieniem
zamykamy powieki
Mija nas wtedy ptak
chmura
i słońce
Gałąź z brązu przemienia się
w magnetyczny statek
którym uciekamy na wyspę snu —*

Czy nie można i tak widzieć naszego świata? Czy jest to narzucony sobie estracyzm? I czy przypadkiem taka postawa poety nie świadczy o wielkim zaangażowaniu w przypadłości historii i losu pojedynczego człowieka właśnie poprzez małe samooszustwo dla uspokojenia nerwów i uodpornienia siebie na chwilę powrotu w kierat spraw? Ja bym patrzył na poetów tak właśnie. Ja bym bronił zarówno ich smutku jak ich ucieczki, ponieważ wiem, że nikt jak oni nie potrafi się wiązać z życiem, krajem, ludźmi, polityką. Ucieczka na wyspę snu jest niekiedy tak samo potrzebna jak sam sen, bez którego nie potrafilibyśmy być trzeźwi w działaniu.

Przeto patrzmy na poetów bardziej wnikliwie. Przeto nie bijmy w nich, że smutni. Przeto nie pytajmy na każdym spotkaniu autorskim: Czemu panowie nas nie śmieją? Jeżeli komu do śmiechu — niechże sobie poczyta świetnego satyryka Mariana Żaluckiego. Gdybyśmy mieli samych Żaluckich, byłoby dosyć ponuro. Gdyby nie było Żaluckiego byłoby natomiast cholernie wesoło.

Tak więc wśród wielu możliwych ścieżek poetyckich naszego czasu chętnie wstąpiłem na ścieżkę Koniusza, ponieważ dał mi kilka chwil i kilka wzruszeń, których bez niego nie miałbym pewno nigdy. Jest odemnie delikatniejszy, nauczył mnie jednej niedużej może, ale prawdy: że współczes-

ny, brutalny świat miewa niekiedy zakątki ciszy tak zupełnej, jaka panuje na przykład nad Wisłą, w niedzielny wieczór, tuż przy ogromnej płycie mosiężnej położonej ku czci 2039 żołnierzy poległych w roku 1944, przy forsowaniu tej wielkiej i sennej

wody. Cisza i pamięć pisana na wodzie. Zdaje mi się, że tomik Koniusza mógłby się także i tak właśnie nazywać: Cisza i pamięć...

Janusz Koniusz „Ślad przelotu”, Wyd. Poznańskie 1961 r.

EUGENIUSZ PAUKSZTA

BAŚŃ — WIDOWISKO

Zagadnienia umiejętnego propagowania rodzimych treści folklorystycznych, zachowanych na dzisiejszym obszarze Ziemi Lubuskiej, zwłaszcza w Międzyrzeckiem i na Babibojczyźnie, poszerza się znacznie w możliwościach percepcji przy przenoszeniu warstwy tradycji legendarno-baśniowej. Trudno o wprowadzenie nowych elementów, o trawestację literacką zachowanej pieśni ludowej, obyczajów i obrzędów takich jak przy weselach, piórnicach, pogrzebowych „pustych nocach” itp. Zachowane elementy są tam trwale i niezmiennie, wysiłek musi się ograniczyć do zadania ich zachowania i dalszej kontynuacji.

Inaczej sprawa wygląda z motywami rodzimej legendy i baśni, których — zarówno żywych ciągle wśród ludności rodzimej, jak odgrzebywanych w archiwaliach — zachowało się więcej niż można było początkowo przypuszczać. Interesując się przygotowywanymi do druku „lubusianami”, sporo nowych motywów legendarnych i baśniowych odnalazłem np. w pracy Franciszka Golza „Tysiąclecie Pszczew w historii i legendzie” oraz we wspomnieniach Marii Zientara-Malewskiej „Płonące słupy nad Obrą”.

Gdy się jednocześnie przypomni teksty już opublikowane, przepracowane literacko, a więc Malickiego i Rutkowskiego tom

„O krasnoludkach, Jagusi i siedmiu zaklętych rycerzach”, Izabelli Koniuszowej „Złota dzida Bolesława” oraz mające się ukazać na półkach księgarskich nowe wybory legend i baśni lubuskich, można będzie z satysfakcją stwierdzić, iż na tym polu wysiłki entuzjastów przeszłości i dnia dzisiejszego Ziemi Lubuskiej uwieńczono się nie małym powodzeniem.

Stwierzenie to jest ważkie, świadczy bowiem o zdrowej kierunkowej w pracy nad przenoszeniem ludowych treści regionalnych Ziemi Lubuskiej do dorobku ogólnopolskiego tak w zakresie badań folklorystycznych, jak pomnażania motywów literackich wspartych o dawne tradycje rodzime.

Należy pamiętać, że umiłowanie ziemi rodzimej rodzi się właśnie ze wspomnieniami z okresu dzieciństwa, dojrzeva z wchłanianą wtedy zachłannie baśnią i legendą. Kto wie, czy nie tutaj właśnie kryje się najlepsza droga do zasypywania luki powstałej dzięki świadomej działalności wielowiekowego okupanta niemieckiego w ciągu rozwojowym polskiej kultury na terenach nadodrzańskich. Nowe pokolenia Lubuszan, wynosząc ze szkół i domów pamięć baśni i legendy, zrodzonej nad odrzańskimi i ob-rzańskimi wodami, wokół tradycji Santoka, Głogowa, Międzyrzecza czy Dąbrówki związanej z postaciami Chrobrego, Krzywoustego, Jana Olbrachta czy Zygmunta Starego, Krzysztofa Żegockiego czy Staszica, oprócz indywidualnych, regionalnych powiązań po-

przez dom i związaną z miejscem przyścia na świat, bogate będą już także w tradycję ludową i literacką Ziemi Lubuskiej.

Można na tej płaszczyźnie łatwo już wieść, iż w fazie powstawania rodzimej, najściślej związanej z tradycjami regionalnej przeszłości literatury, pierwsze miejsce w swej społecznej skuteczności będą miały zbiory baśni i legend, czy opartych o rzeczywiste wydarzenia opowiadań i gawęd historycznych. Miejsce na szerszą w oddechu literaturę, powieść, dramat, opowiadanie, jawi się w takim układzie nieco później.

Otrzymując do rąk wydaną przez LTK „baśń lubuską dla teatrów lalkowych” — „Królestwo dziadka Sławomira” — pióra Ireny Solińskiej, trzeba niejako z góry już wyrazić radość, że znalazła się oto i taka próba przyswojenia baśniowej tradycji, z obliczeniem na masowego młodocianego widza. Brakło dotychczas tekstów transponujących baśń lubuską na widowiska dziecięce, szczególnie dla tak popularnych i ulubionych przez dzieci teatrów kukielkowych.

Irena Solińska, zasłużona w dogrzebywaniu się rodzimych podkładów folklorystycznych w wioskach Ziemi Lubuskiej, utwór swój osnuła w oparciu o legendarną opowieść o rycerzu Sławomirze, mitycznym władcy bogatego w polskie tradycje miasteczka Trzciel na Ziemi Międzyrzeckiej. Jednocześnie wzbogaciła tekst w elementy innych przekazów, jak np. o raubritterów, swojego czasu panoszących się na Ziemi Lubuskiej i napadami swoimi paraliżujących życie tej tak doświadczonej przez ciężkie dzieje krainy. W sumie zespół tych elementów tworzy zgrabną, zwartą treściowo baśń-widowisko o dużych walorach nie tylko literackich, ale również — o czym należy tutaj szczególnie pamiętać — poznawczych.

Baśń-widowisko opiera się w swej strukturze na połączeniu elementów realnych z baśniowymi, zarówno poprzez animaliza-

cję zwierząt, jak poprzez wprowadzenie czarodziejskich praktyk z ukazywaniem zdarzeń na odległość, interwencjami legendarnego Sławomira itp. Nie bez znaczenia jest silny akcent społeczny, ukazany jednak dyskretnie i z umiarem przez rysunek zarówno sytuacji w rodzinie głównego bohatera Stacha, jak i pośrednio wśród ludności całego miasteczka Trzciela. W dobrze pomyślany, zręczny sposób rolę przewodnika — komentatora spełnia aktor Pytelek, tłumaczący młodocianej widowni zarówno wykładnie samego widowiska jak i szerszych, historycznych już warstw stojących u podłoża utworu.

Solińska uniknęła tak częstego w tym typie utworów przegadania. Słowem operuje oszczędnie, przerzucając ciężar zagadnienia na elementy wizualne. Przejścia zrobione są zgrabnie, pewne zastrzeżenie może wzbudzić jedynie zakończenie, cokolwiek, moim zdaniem, ułatwione. Interwencja Babuli-Bajduli jak i rodzaj tej interwencji są nawet jak na baśń zbyt zagadkowe. Kwestia, czy przy następnym wydaniu lub wystawieniu nie należałoby raz jeszcze przepracować zakończenia poprzez nadanie mu większej wyrazistości i przejrzystości.

Słów uznania domaga się język, prosty, przejrzysty, całkowicie komunikatywny dla młodego odbiorcy. Podobnie styl, bez zbędnych zawijasów i ozdobnictwa, płynny, określiłbym: melodyjny.

Dowodem sumiennosci pracy Solińskiej i przemyślenia scenicznej baśni do końca, są integralnie związane z tekstem „uwagi inscenizacyjne”, gdzie szereg wskazówek stanowi zarazem zasób informacji zezwalających na poszerzenie podkładu historycznego utworu. W ten sposób zespoły o lepszych możliwościach inscenizacyjnych mogą bez naruszania samego tekstu, poprzez dekoracje, stroje i ewent. poszerzony komentarz Pytelka, znacznie pogłębić realny podkład historyczny utworu.

Wydaje mi się, że pracy Solińskiej nie można skwitować zdawkowymi uwagami, choćby najbardziej pozytywnymi. Często się zdarza, iż tego rodzaju prace, przy ich walorach artystycznych, spełniają daleko szerszą funkcję popularyzacji przeszłości i budzenia uczuciowych powiązań z ziemią rodzinną niż opasłe tomiska rozpraw na oderwane tematy. Irena Solińska zapoczątkowała pracę na polu dotychczas zapoznawanych. To naprawdę pierwsze widowisko

dla dzieci, oparte o elementy rodzime mitologii Ziemi Lubuskiej. Oby udany rezultat stał się i dla autorki i dla innych podnieceni do dalszej pracy na tym polu. Ma ta praca większe znaczenie, niż skłonni byłiby przypuszczać różni ironiczni „besserwischerzy”.

Irena Solińska „Królestwo dziadka Sławomira” str. 35, wyd. (na prawach rękopisu) LTK – Zielona Góra 1960 r., cena zł 5.

WŁODZIMIERZ MACIĄG

PAMIĘTNIK ZIEMI BABIMOJSKIEJ

Nie ma nieciekawych pamiętników. Istnieje tylko sprawa umiejętności wyrażania tego co się przeżyło. Autentyczne wydarzenia mają ów szczególny, niedostępny żadnej literaturze posmak doniosłości, który jest po prostu posmakiem prawdy. To nie jest przypadkowe, że czytelnik woli dzisiaj brać do ręki pamiętniki raczej, niż literaturę innego, bardziej wymyślnego rodzaju. Rozstrzyga o tym zainteresowaniu stopień prawdziwości tekstu. Rzeczywiste wydarzenia nie budzą podejrzeń ani sceptycznych wątpliwości. Można je przeżywać bez obawy, że się zostało wprowadzonym w błąd, w fikcję, w sytuację wyssaną z palca. Pamiętnikarstwo przeżywa dzisiaj swój renesans, wszystkie krajowe wydawnictwa zaprezentowały już w tym względzie swoje ambicje.

Ale wśród powszechnego zainteresowania dla sztuki pamiętnikarskiej, daje się jednak zauważyć swego rodzaju nierównomierność, czy raczej nieciągłość przekazów na tle całego życia polskiego. Pamiętnikarstwo jest sztuką, a sztuka jest kapryśna.

Środowiska bliższe kulturze pozostawiają po sobie znacznie więcej pisanych dokumentów niż inne, od tradycji kulturalnej oddalone. W rezultacie na mapie polskiego pamiętnikarstwa jest mnóstwo białych plam: istnieją środowiska, grupy narodościowe lub zawodowe tym ciekawsze, że szerszemu ogółowi niemal nieznanne. Dotyczy to zwłaszcza regionów pogranicznych uwikłanych w konflikty o szczególnym przebiegu i szczególnym natężeniu, konflikty nieznanne ziemiom centralnym.

Pamiętnik Wiesława Sautera „Z walk o polskość Babimojszczyzny” jest dokumentem pamiętnikarskim o poważnym znaczeniu z tej przede wszystkim racji, że mówi on o ludziach i sprawach prawie zapomnianych przez historiografię i publicystykę ostatnich lat. Od niedawna dopiero wydawnictwa zachodniej Polski, głównie Wydawnictwo Poznańskie i „Śląsk” podjęły w tym względzie akcję publikacyjną o poważniejszym zakresie, drukując szereg tekstów przypominających czytelnikowi dzieje polskich ziem zachodnich i to przede wszystkim te sprawy i te postaci, jakie umknęły z pola widzenia opracowań historycznych o bardziej syntetycznym nastawieniu.

Autor pamiętnika jest z zawodu nauczycielem pracującym w szkolnictwie polskim

na Ziemi Babimojskiej od 1945 r. Przywią-
zanie do polskości ma więc u niego także
swoją nauczycielski, niejako apostołski cha-
rakter. Sauter z racji swych zawodowych
czynności stykał się z zagadnieniami walki
o polskość codziennie i przez długi okres
czasu, w rezultacie zainteresowania jego
dla Ziemi Babimojskiej wybiegają poza
okres własnych, osobiście przeżytych do-
świadczeń. Sauter sięga mianowicie do lat
Powstania Wielkopolskiego w latach 1918—
1919 i opisuje z dużą dokładnością dzia-
łania wojenne na Ziemi Babimojskiej, któ-
ra — jak z opisu wynika — przeżyła wów-
czas swój heroiczny, niestety przegrany za-
kończony okres. Ta tendencja do wykracza-
nia w pamiętniku poza krąg osobistych
przeżyć powtarza się w książce nieustan-
nie. W pewnym sensie odbiera to publi-
kacji zalety pamiętnika, wprowadza doń
elementy częściowo fikcyjne, zwłaszcza dia-
logi, których konstruowaniu nie mógł się
autor oprzeć, budzą tutaj pewne zastrze-
żenia.

Rozumiem jednak autora: kierowało nim
przeświadczenie, że obraz będzie tym
prawdziwszy im będzie pełniejszy, że pew-
ne postaci i fakty są na tyle ważne, że —
jeżeli nawet wydarzyły się bez jego obec-
ności — należy je do książki wprowadzić.

Najciekawsze jednak wydają mi się par-
tie odnoszące się do spraw szkolnictwa
polskiego na Ziemi Babimojskiej w latach
przedwojennych. Sauter jak mało kto zna
jego blaski i jego ciche dramaty, ciche —
gdyż z racji polityki międzynarodowej nie
znajdowały one oddźwięku w prasie pol-
skiej, toczony były na własną rękę, wła-
snymi siłami, przy bezustannym narażaniu
się na najdalej sięgające represje. Naj-
lepiej zresztą świadczyć o tym może smut-
ny bilans: prawie wszyscy wybitniejsi dzia-
łacze Polonii w tym regionie zostali w cza-
sie ostatniej wojny zgładzeni przez hitle-
rowców.

I oto następne zjawisko, które w szcze-
gólnej mierze zdaje się interesować autora
książki: chodzi mu mianowicie o odtwo-
rzenie duchowego klimatu tej walki, o przy-
pomnienie jej ludzi, sylwetek psychicznych,
charakterów. Są to ambicje bardzo poważ-
ne w sensie literackim, i pióro pamiętni-
karza nie zawsze daje sobie z nimi radę.
Jednakże sugestia pewnej żarliwości panu-
jącej w pracy polonijnej, sugestia oddania
sprawie polskiej wierności i uporu, ma w
książce swój wyraz, jest tam wiele kart po-
kazujących działaczy babimojskich w sy-
tuacjach, w których zasługują oni na naj-
głębszy ludzki szacunek i trudno nie po-
dzielać pewnej fascynacji autora wobec
tych wspaniałych ludzi.

Ostatnia część książki czyni zadość fol-
klorystycznym zainteresowaniom autora i
daje obraz obyczajowości ludu babimoj-
skiego. Jest to rzecz tym ciekawsza, że zu-
pełnie już zapomniana. Babimojszczyzna
przeszła w czasie ostatniej wojny i po niej
przez okres tak poważnych zmian ludnoś-
ciowych, że o dalszym trwaniu obyczajow-
ości nie można już właściwie mówić.
Zwłaszcza zbieranie pieśni jest pasją Sau-
tera, książka przytacza tych pieśni spory
zestaw, wzbogacając w ten sposób prace
prowadzone przez naukowe zespoły ludo-
znawcze. Autor pragnie dać także pewne
interpretacje historyczno - socjologiczne
przytaczanym tekstom, tu i ówdzie wyjaś-
nienia jego bywają wątpliwe, w sumie jed-
nak poszerzają orientację w sprawach lu-
du babimojskiego.

Toteż mimo wyrażonych tu zastrzeżeń,
książka Sautera niewątpliwie zasługuje na
uwagę. Jest w pewnym sensie unikatem,
co chyba Wydawnictwo Poznańskie wzięło
pod uwagę, dając jej piękną i staranną
oprawę graficzną.

Wiesław Sauter „Z walk o polskość Babimoj-
szczyzny” str. 218, Wyd. Poznańskie. 1960 r.

ZYGMUNT DULCZEWSKI

DOM NAD ODRĄ

W kwietniu 1959 r. „Gazeta Zielonogórska” ogłosiła konkurs na wspomnienia osadników Ziemi Lubuskiej pt. „Mój dom nad Odrą”. We wrześniu 1961 ukazała się książka pod tym samym tytułem, wydana przez Lubuskie Towarzystwo Kultury w Zielonej Górze, będąca plonem wymienionego konkursu. Książka obejmuje 28 fragmentów wspomnień, wybranych i opracowanych przez Irenę Solińską i Janusza Koniusza. Obszerny wstęp naukowy napisał pracownik Instytutu Zachodniego Andrzej Kwilecki.

Wstęp zapoznaje czytelnika z pojęciem dokumentów osobistych w socjologii, omawia ich znaczenie dla badań nad osadnictwem Ziemi Zachodnich i przedstawia w ogólnym zarysie problematykę zbioru „Mój dom nad Odrą”. Wspomnienia osadników Ziemi Lubuskiej poszerzają nasze wiadomości z historii i socjografii osadnictwa przez dostarczenie wielu nowych faktów nie zarejestrowanych w urzędowej dokumentacji i przez dołączenie przez autorów własnej interpretacji i oceny wydarzeń, w których uczestniczyli, bądź których sami byli sprawcami. W krótkiej charakterystyce pamiętnikarzy autor wstępu podkreśla, że reprezentują oni różne grupy wieku (młodsze i starsze pokolenie), różne zawody (działaczy społecznych i politycznych, nauczycieli, robotników, chłopów) oraz różne miejscowości i powiaty Ziemi Lubuskiej. Najwięcej miejsca i uwagi poświęcili pamiętnikarze obecnej stolicy Ziemi Lubuskiej — Zielonej Górze. Relacje dotyczą najczęściej pierwszego etapu osadnictwa na Ziemi Lubuskiej. Na 28 autorów wspomnień, 21 osiedliło się na Ziemi Lubuskiej w 1945 r. We wspomnieniach znajdują odzwierciedlenie:

motywy i przyczyny osiedlania się na Ziemiach Zachodnich: formy i typy osadnictwa (zagadnienie ekip pionierskich, transportów repatriacyjnych, osadnictwa wojskowego itd.); początki organizacji życia zbiorowego osadników w różnych ośrodkach miejskich i wiejskich. Autor wstępu wycina wnikliwie i systematyzuje dane, które mają wartość dla zrozumienia procesu tworzenia się nowego społeczeństwa na Ziemi Lubuskiej.

Wspomnienia osadników podzielone zostały na dwie części. Część pierwsza obejmuje relacje osób, które osiedliły się w miastach Ziemi Lubuskiej. Dają one obraz pierwszych dni osadników w Krośnie Odzańskim, Międzyrzeczu, Szprotawie, Słubicach, Nowej Soli, Zielonej Górze; mówią o trudnościach związanych z podróżą, szukaniem mieszkania, zdobywaniem pierwszych mebli i sprzętu gospodarczego, mówią o pierwszym miejscu pracy, — niekiedy zarysowują także w skrócie osiągnięcia dokonane w okresie późniejszym. Charakterystycznym przykładem są tu wspomnienia wiolonczelisty, poświęcone historii zielonogórskiej orkiestry symfonicznej (H. Krajewski „Niedokończona symfonia”, s. 94—101). Część druga obejmuje wspomnienia osadników wiejskich. Dochodzą w niej do głosu rolnicy podejmujący pierwsze orki na ziemi nadodrzańskiej, nauczyciele wiejscy organizujący z trudem i poświęceniem nauczanie dzieci osadników, a także działacze typu pośredniego „miejsko-wiejskiego”. W sumie biorąc wszystkie wybrane fragmenty są interesujące, przynoszą cenne wiadomości o życiu osadników i wzbogacają naszą wiedzę o procesach społecznych dokonujących się na Ziemiach Zachodnich. Czyta się je, od początku do końca, z dużym, niesłabnącym zaciekawieniem. Wybór został przygotowany bardzo starannie do druku. Kto miał do czynienia z tego typu materiałami, doceni z pewnością wkład

pracy redaktorów, których doświadczoną rękę dostrzega się tu na każdym kroku. Zyskała na tym bez wątpienia literacka strona wyboru. Jest rzeczą dyskusji, czy nie odbyło się to niekiedy kosztem autentyzmu wspomnień, cenionego zwłaszcza w dokumentacji naukowej. Zasięg oddziaływania społecznego omawianego wyboru pomysłany jest raczej szeroko i w związku z tym inaczej ocenia się jego znaczenie i funkcję społeczną.

Do najbardziej wartościowych pozycji należą niewątpliwie wspomnienia działaczy społeczno-politycznych. Zwracamy zwłaszcza uwagę na wspomnienia członków grupy operacyjnej, wydelegowanych przez KW PPR w Poznaniu do Krosna Odrzańskiego w końcu kwietnia 1945 r. (Józefa Kaseji „Uliczka siedemnastu pionierów” i Józefa Budzyńskiego „Wspomnienia krosnieńskiego burmistrza”). Obrazują one wysiłek, zaradność i zdolności organizacyjne czołówek osadniczych, a zarazem dokumentują charakterystyczne dla Ziemi Lubuskiej zjawisko tzw. sporów kompetencyjnych, związanych z brakiem do lipca 1945 roku precyzyjnego podziału administracyjnego. Uchwała Rady Ministrów o podziale administracyjnym z marca 1945 r. nie określała wyraźnie granic między tzw. Okręgiem Pomorza Zachodniego i Okręgiem Śląskim dając pole inicjatywie „przedsiębiorczych” pionierów administracji. W Krosnie Odrzańskim spotkały się np. czołówki operacyjne delegowane przez pełnomocników rządu (województw) w Poznaniu, Koszalinie i Legnicy. Czołówka poznańska, delegowana przez KW PPR przybyła najwcześniej i wyszła zwycięsko z walki, choć były poważne próby wyparcia jej przez wysłanników śląskich i pomorskich, posuwających się nawet do swoistego okupowania lewobrzeżnej części miasta. Uchwała Rady Ministrów z 7. VII. 1945 r. o nowym podziale administracyjnym, włączając Ziemię Lubuską do województwa poznańskiego, utrwaliła pozycję czołówek poznańskich.

Lektura wspomnień uprzytamnia wyraźnie jak niedawne są dzieje, kiedy osadnicy stawiali pierwsze kroki na Ziemi Lubuskiej. Autorzy dokumentują to co chwila naturalnym, spontanicznym posługiwaniem się wyrazem „pierwszy”. Chodziło np. o „pierwszy wieczór”, „pierwszą kolację”, „pierwszą krowę”, „pierwszy siew” itd. Oto kilka fragmentów, które ilustrują to zjawisko:

„W Toporowie zorganizowana została w tym czasie pierwsza gmina wchodząca w skład ówczesnego pow. krosnieńskiego. Na stanowisko wójta — pierwszego wójta polskiego w Toporowie wybrany został ob. Wypijewski.

„Święto 1-majowe, pierwsze w odrodzonej Ojczyźnie, obchodziliśmy uroczystie...” (J. Kaseja „Uliczka siedemnastu pionierów” s. 25).

„Kazik — szwagier zajął na tej samej ulicy małą gospodarzkę... Zwiedziliśmy cały dobytek, a było już sporo nakoszonego nad Odrą siana i trochę żyta w stodole. Byłoby więcej, ale nie mieli konia aby zwozić. Inwentarza żywego na ogół było bardzo mało. Z żywnością w ten pierwszy rok też nie najlepiej (J. Brzeziński „Jak się budowało”, s. 172).

„Zakończenie drugiej wojny światowej. Wiadomość tę podano w radzieckiej komendzie. — Hurra! Niech żyje pokój i wolność. Znalaziono gdzieś muzykanta z akordeonem i wygodne podwórze. Starodawnym zwyczajem, jak za dawnych lat pierwsza z a b a w a po wielkiej wojnie” (W. Sienkiewicz, „Grunt, że miłość była”, s. 177).

Przypomnienie tych pierwszych momentów pozwala tym lepiej ocenić zakres osiągnięć dokonanych na Ziemi Lubuskiej w minionym szesnastoleciu. Ciekawego podsumowania tych osiągnięć dokonał w rozmowie z redaktorem „Polityki” I sekretarz KW PZPR tow. T. Wiczorek. Czytamy w tym wywiadzie:

„Ludzie przyjechali rzeczywiście ze wszystkich stron. Różniły ich obyczaje, warunki materialne, nawet akcent...

Hasło „Ziemia Lubuska piękna, gospodarna, kulturalna” zrodziło się na dole wśród ludzi, nie zostało wymyślone przez władze. Powstał typ patrioty — bynajmniej nie człowieka z partykularza, ale troszczącego się o całość, w skali województwa i kraju...

Koordinatorem społecznego ruchu kulturalnego jest LTK, ma ono także poważne

zasługi wydawnicze („Polityka” nr 43, z dnia 28. X. 1961).

Zasługi Lubuskiego Towarzystwa Kultury na polu wydawniczym dokumentuje również ostatnia pozycja „Mój dom nad Odrą”, którą należy uznać za wartościowy dokument okresu Polski Ludowej, posiadający zarazem poważne walory społeczno-wychowawcze.

*) Rozstrzelenia tekstu moje — Z. D.

„Mój dom nad Odrą”, wyd. LTK, Zielona Góra — 1961, str. 183.

WILHELM SZEWCZYK

PUBLICYSTYCZNE SENSACJE

Książka Tadeusza Kajana „Fakty i ludzie” posiada już swoją bogatą literaturę i wyróżnienie Nagrodą Publicystyczną „Życia Literackiego” za 1960 r. Świadczy to o trzech rzeczach: po pierwsze o potrzebie społecznej tego rodzaju publicystycznych książek, po drugie o obiektywnych wartościach pracy Tadeusza Kajana, po trzecie o czujności i uwadze wielu naszych krytyków i publicystów, którzy dostrzegli rangę tej pozycji wśród coraz częstszych wydawnictw z tego zakresu tematycznego.

Jeśli szukać analogii w piśmiennictwie polskim — praca Kajana znajdzie się w towarzystwie znakomitych książek, takich jak Kisielewskiego „Ziemia gromadzi prochy”, Wańkowicza „Na tropach Smętka” i Wasylewskiego „Na Śląsku Opolskim”. Wszystkie trzy wspomniane tu książki zasłużyły się dobrze zarówno dla ożywienia zachodniopolskiego patriotyzmu i sentymentu, przytłumionego przez dziesiątki lat, zagubionego w meandrach polityki polskiej — jak i dla pogłębienia rzeczywistej wie-

dy o naszych zachodnich i północnych rubieżach. Wszystkie te książki miały do spełnienia bardzo istotną funkcję, którą nazwałbym interwencyjną; niestety praktycznie nie wiele mogły one zdziałać — a nawet, jak to wiemy z późniejszych losów polskich, posłużyły okupantowi w jego polityce eksterminacyjnej wobec żywiołu polskiego na Opolszczyźnie oraz na obszarze warmijsko-mazurskim.

Książka Kajana tematycznie zbliża się bardzo do tych swoich czcigodnych antenatów, ale oczywiście jej funkcje społeczno-polityczne są zupełnie inne. Książka Kajana kontynuuje tę samą linię patriotyczną, ale oczywiście oczyszczoną z naiwności politycznych, wzbogaconą o doświadczenia narodu polskiego jako gospodarza na terenach dla państwa polskiego odzyskanych. Pokrewieństwo książki Kajana z tamtymi pracami jest — poza zakresem tematu — pokrewieństwem strefy uczuciowej. Kajan jest jednak w tym szczęśliwym położeniu, że może się odwoływać nie tylko do przekazów historycznych, uzasadniających naszą miłość do tych ziem, lecz przede wszystkim do faktów z naszej współczesności, do rodowodu nowej państwowości polskiej na tych ziemiach. Korzystając z

tradycyjnych zasobów uczuciowych, tak potrzebnych nam przy najogólniej pojętych procesach integracyjnych, Kajan sięga do poczucia obywatelstwa w Polsce Ludowej, do wspólnej nam wszystkim dumy z osiągnięć i sukcesów.

Wielki narodowy alarm na tych ziemiach został już definitywnie odwołany, zwycięstwo roku 1945 przekreśliło sytuację alarmową. Do sytuacji tej Kajan może się odwoływać już tylko tam, gdzie w przeszłości sięgają również wątki zwycięskie. Kajan, autor książki napisanej i wydanej w Polsce Ludowej, miał prawo i obowiązek przeświecić przeszłość, ale jedynie w tym znaczeniu, w jakim przyczynia się ona do zrozumienia naszego zadomowienia się na ziemi odzyskanej, do uzasadnienia logicznych praw naszego rozwoju państwowego na tych terenach. Kajan skorzystał z tego prawa, dobrze spełniając przy tym obowiązki publicysty.

Książka Kajana ma za temat głównie przeszłość i teraźniejszość regionu zwanego dziś Ziemią Lubuską. O ile w stosunku do innych regionów ziem zachodnich i północnych zastosowaliśmy na ogół tradycyjne podziały geograficzne, o tyle pojęcie Ziemi Lubuskiej jest pojęciem całkowicie nowym, jest również w założeniu swym pojęciem polskim, co naturalnie nie znaczy, by tradycyjne pojęcie Dolnego Śląska, Warmii i Mazur nie miały polskich treści oraz inspiracji. Przeciwwstawienie to odnotowują tylko dlatego, by stwierdzić, że Ziemia Lubuska jako całość historycznie i współcześnie umotywowana jest eksperymentem wyłącznie polskim i to w pełni udany, o czym świadczy współczesny profil tego regionu. Badania niemieckie dawne i obecne nie znają takiej jednostki regionalnej, nie mówiąc oczywiście o administracyjnej. Toteż rozwój życia na Ziemi Lubuskiej niepokoi rewizjonistów niemieckich bardziej, niż rozwój życia w regionach ukształtowanych przez tradycję, choć dzisiaj pulsują one innymi, polskimi treściami.

Tadeusz Kajan w swych poszukiwaniach tematycznych nie ograniczył się jednak tylko do granic administracyjnego regionu. Ten zamysł autora uznać trzeba za całkowicie słuszny. Na dzisiejsze pojęcie polskiej Ziemi Lubuskiej składały się bowiem różne elementy, przede wszystkim śląskie oraz wielkopolskie. A najbliższe nam w czasie tradycje polskości tego regionu miały również walor ogólniejszy, pozaregionalny, że wspomnimy boje o polską szkołę w Niemczech, o polskie treści w życiu kulturalnym i społecznym.

Dlatego czytelnik książki Kajana z wdzięcznością śledzi jego rekonesans w takim na przykład dzieje Kargowej, opromienione pięknym polskim czynem żołnierskim. Dlatego słusznie wiąże się jego temat lubuski z czynem powstańców wielkopolskich. Dlatego też z przyjemnością odnotowujemy w pamięci akcenty górnośląskie, choć z żalem trzeba przyznać, że autor pominął niektóre frapujące kontakty wrocławsko-zielonogórskie z okresu walk Polonii w Niemczech; nie należy bowiem zapominać, że Zielona Góra była aż do roku 1945 miastem śląskim.

Podziwiam umiejętność autora w sięganiu po drobne zdawałoby się przekazy z przeszłości, czy po fakty na ogół znane, które potem pomagają autorowi w budowaniu frapujących opowieści. Książka Kajana ma charakter publicystyczny, ale z wielu jej szkiców przebija piękny zamysł literacki, konstrukcja literacka. Dlatego w sensie pisarskim nazwałbym te szkice sensacjami publicystycznymi, spełniającymi obietnice, ograniczone prawami rodzaju publicystycznego, w sposób dojrzały i pełniejszy, bo wkraczającymi już w dziedzinę opowieści literackiej, nie zamkniętej zresztą fikcją, właściwą z kolei temu rodzajowi pisarskiemu.

Warsztat pisarski Kajana wart jest pozytywnej oceny, pomimo, iż można by niejednej stronie książki zarzucić dziennikarski pośpiech, pomimo, iż drażni nas tu i ówdzie stylistyczna opieszałość i powierzchowność obserwacji. Moja pozytywna ocena ogólna wynika z następujących przesłanek:

— Kajana zna wagę dokumentu i umie się nim posługiwać tak, jak tego wymaga pióro pisarza;

— Kajana rozumie wartość kontaktu przeszłości z teraźniejszością i dlatego książka jego, choć obciążona tematyką historyczną, jest jak najbardziej współczesna tematycznie;

— Kajana nie rezygnuje nigdy z uczuciowego zaangażowania się w temat, co czasem prowadzi do wątpliwej wartości aktualnych apostrof, jak owa w zakończeniu szkicu „Z tunelów Dory”, ale co w sumie jest tylko drobną rysą na sumiennym opracowanym malowidle, przesyconym serdecznościami i gorącymi uczuciami.

Kajana frapują tematy niemieckie. Trudno sobie zresztą wyobrazić jakąkolwiek książkę o tematyce ziem nadodrzańskich bez uwzględnienia spraw niemieckich. Słuszne jest pokazywanie zbrodni niemieckiej wobec tych ziem i jej ludzi, w ogóle temat to ciągle za mało eksploatowany w polskiej aktualnej publicystyce. Wypad na Górny Śląsk w poszukiwaniu Źródeł niemieckiej V kolumny w Polsce kończy się stanowczym i całkowicie umotywowanym stwierdzeniem, że owa V kolumna dzisiaj „nie ma szerokiej bazy społecznej, by rekrutować siły ludzkie do typowej V-kolumnowej działalności... nie ma wreszcie w ogóle bazy społecznej, na którą tego autoramentu idee oddziaływałyby, a która charakteryzowałaby się zapotrzebowaniem

na działalność identyczną z dawną V kolumną”.

Ale z drugiej strony — przy tej okazji mała uwaga: poważnej publicystyce nie przystoi już odwoływanie się ze zdziwieniem do polskich nazwisk zbrodniarzy, zdrajców i przestępców politycznych; równie dobrze mogliby się Niemcy dziwić, dlaczego wśród patriotów polskich jest tylu ludzi o niemieckich nazwiskach. Zostawmy nazwiska w spokoju, różne przecież przyczyny historyczne złożyły się na to, dlaczego po jednej jak i po drugiej stronie znaleźli się ludzie o obcych nazwiskach.

Za bardzo cenne w pracy Tadeusza Kajana uważam również te wszystkie elementy dokumentacyjne i narracyjne, które składają się na wspaniałą epopeję Polactwa w Niemczech. Dlatego choć obszerny szkic „W obronie ojczyzny — polszczyzny” wydał mi się najbardziej suchy z pisarskiego punktu widzenia, jego obecność w książce jest pięknym dowodem pasji odkrywczej autora oraz konsekwentnym pogłębieniem obrazu.

Nie znalazłem natomiast uzasadnienia dla egzotycznego spotkania z Papuszą, choć inni recenzenci książki Kajana nie dostrzegli w tym nic złego.

Publicystyczna książka Kajana jest zatem, jak mi się wydaje, więcej niż publicystyczną jedynie. Jest panoramą dziejową Ziemi Lubuskiej, atrakcyjnym prześwietleniem wielu rodzimych spraw tego regionu, sumą interesujących doświadczeń autorskich, przyczyniających się do lepszego poznania i pokochania Ziemi Lubuskiej i Polski nadodrzańskiej.

Tadeusz Kajana „Fakty i ludzie”, str. 227, wyd. LTK — Zielona Góra 1960 r., cena zł 18.—

JERZY MADEYSKI

RZECZ O KONICZU

Koniusz rozpoczyna swą książkę skromnym stwierdzeniem: „Niniejszy szkic nie może jednak zastąpić poważnej naukowej pracy o malarzu z Zielonej Góry. Taddeo Polacco wciąż czeka na swego monografistę”. Inwokacja ta nie jest, jakby się mogło wydawać „łowieniem komplementów”, będąc jednak w znacznej mierze niepotrzebnym samobiczowaniem. „Taddeo Polacco z Zielonej Góry” Janusza Koniusza istotnie nie może pretendować do miana wyczerpującego studium, lecz zarzut ten odnosi się nie tyle do sensu stricto pojętych walorów i informacji monograficznych, ile raczej do bardziej fachowych omówień twórczości Konicza — zagadnień warsztatu, wpływów, koncepcji plastycznych — słowem czysto formalnej analizy sztuki tego malarza.

Koniusz, z rzadką uczciwością i skromnością autorską operuje głównie cytatem; zamieszcza liczne teksty źródłowe, kontentując się w większości wypadków rolą komentatora cudzych osiągnięć. Nie znaczy to jednak, by zrezygnował z trafnej na ogół syntezy i krytyki omawianych informacji — wręcz przeciwnie — analizuje je, wyciągając z gąszczy hipotez logicznie i faktologicznie udokumentowane stwierdzenia.

A najrozmaitszych hipotez istotnie nie brak. Pierwszą zagadką jest rok i dzień urodzenia Konicza: z tym problemem załatwia się Koniusz dość gładko; drugą zagadką jest narodowość omawianego autora: czy człowiek o nazwisku metrykalnym Antoni Josef Kuntze, syn Gotfryda i Anny Marii Sambelin jest Polakiem? I tu również analiza tekstów i życiorysu malarza potwierdza tezę polskiego pochodzenia artysty. Lecz sądzę, należało raczej poprzestać

na danych archiwalnych, nie wdając się w argumenty wątpliwej wartości rzeczowej, jak np. fakt, iż Konicz namalował swój wizerunek w stroju polskim — lub, że malował polskie sceny rodzajowe. Skądinąd znamy przecież autoportret Bacciarellego w podobnym, czysto polskim odzieniu, oraz folklor polski oddany pędzlem Norblina. Również Konicz malował sceny, których głównym bohaterem był lud rzymski. Nie znaczy to jednak, by Bacciarrelli i Norblin byli Polakami, a Taddeo Polacco — Włochem. Nawet w niezbyt jasnych sytuacjach system podwójnej argumentacji daje najlepsze rezultaty, zaś w tym wypadku, przy istnieniu niewzruszalnych dowodów polskiej narodowości Konicza — wydaje się po prostu sprawą zbędną. Wystarczy chyba — poza archiwaliami — rzymski przydomek Polacco i fakt, iż używał go jako nazwiska. Na podobnej zasadzie działał zresztą Józef Brandt, podpisujący się nieodmiennie „Józef Brandt z Warszawy” w słusznej obawie, by go kiedyś niemieccy historycy sztuki nie włączyli do rejestrów chronologicznych plastyki swego kraju. Cóż, nazwisko nie decyduje o pochodzeniu.

Jak to już zostało powiedziane, uczciwość autorska i szacunek dla informacji źródłowych, jak również obiektywizm badawczy jest główną zaletą książki, książki napawającej zaufaniem do autora i podawanych przez niego faktów. Opierając się, jak sam twierdzi, w znacznej mierze na spuściznie po Józefie Orańskiej, zmienił jednak w pewnym stopniu jej plan publikacji, rozbijając niektóre zagadnienia, i chyba nie będę zbyt daleki od prawdy — uprzystępniając tym samym sylwetkę Konicza czytelnikom. Jasny i jędrny styl, przy równoczesnym, niemal reportażowym (z gatunku reportaż — zagadka kryminalna) potraktowaniu tematu tworzy z „Taddeo Polacco” książkę czytaną jednym tchem, tak różną od uczonych i autorytatywnych ramot bio-

graficznych, nad którymi usypiają nawet najbardziej zapaleni historycy sztuki. Niewątpliwym plusem książki jest również znaczna ilość stosunkowo dobrych ilustracji, rekompensujących poważne braki w analizie matier plastycznego Konicza. Braków tych nie mógł jednak w żadnym razie usunąć publicysta i badacz historii swego województwa. Te problemy wchodzą już w zakres wysoko kwalifikowanych znawców omawianego przedmiotu. Nie można więc zbyt obciążać Koniusza za stwierdzenia tego rodzaju jak „...namalował portret biskupa (J. St. Załuskiego, prz. mój)... obraz ten, najlepszy zresztą w franciszkańskiej galerii” — rzecz gustu, osobiście byłbym nieco odmiennego zdania; lub też apoteoza Konicza, którego twórczość charakteryzuje „... ruch, kolor, oszczędność w środkach wyrazu, a więc to, co go różniło od innych” — (te wartości plastyczne były dość powszechne w tym okresie), lub „...Tadeusz Konicz wyłamał się z obowiązującej wówczas mody i zaczął malować nie tylko rui-

ny starożytnego Rzymu, ale przede wszystkim to, co się pośród ruin działo: chłopą idącego na jarmark, żebraczkę, przejazd korowodu karnawałowego, odpoczynek rodziny chłopskiej, prace w porcie”, by dojść do wniosku: „...Tadeusz Konicz nie był twórcą genialnym, nie pozostawił dzieł, które rozpoczęły nowy kierunek w malarstwie”. Ale dość cytatów. Osobiście chętnie kupię nowe, poszerzone wydanie „Taddeo Polacco”, może sygnowane dwoma nazwiskami: oczywiście Koniusza i jednego ze speców naszego i obcego malarstwa do końca XVIII wieku włącznie. Oczywiście w większym nakładzie i bardziej okazałej szacie graficznej (choćby 2 — 3 ilustracje barwne). Wtedy dopiero godne najwyższego uznania osiągnięcia Koniusza zyskają odpowiednią oprawę i mimo niewątpliwych walorów typu biograficznego — niezbędne uzupełnienie sylwetki Konicza jako malarza.

Janusz Koniusz „Taddeo Polacco z Zielonej Góry”, str. 43 wyd. LTK — Zielona Góra 1960 r.,

JAN WAŚICKI

NADODRZAŃSKIE SZKICE HISTORYCZNE

Szkice te jak z krótkiej przedmowy wydawców do czytelników wynika, powstały z wykładów wygłoszonych na seminarium zorganizowanym dla nauczycieli i działaczy kulturalnych woj. zielonogórskiego. Naturalnie podkreślenie tego na wstępie w dużym stopniu określa charakter wydawnictwa, nie roszczonego sobie aspiracji do naukowego opracowania problematyki, a przede wszystkim zebrania wyników dotychczasowych badań naukowych. Zresztą jeden z autorów szkicu, A. Kucner wyrażnie to, i moim zdaniem słusznie, w podtytule podkreślił.

Zasadniczo użycie w tytule zwrotu „szkice” sugeruje czytelnikowi, że będzie to zbiór artykułów o dość różnorodnej tematyce odnoszącej się do jednego regionu historycznego. W wypadku „Nadodrzańskich szkiców historycznych” sytuacja przedstawia się odmiennie. Poszczególne artykuły są tu ze sobą dość ściśle powiązane i w zasadzie dotyczą jednego tylko zagadnienia — walk o utrzymanie polskości środkowego Nadodrza — jeśli terminu tego można użyć — oraz jego powrót do Macierzy.

Na całość „Szkiców” składają się prace: B. Miśkiewicza „Obrona granicy zachodniej w okresie wczesnofeudalnym”, A. Kucnera „O przebiegu wojny polsko-niemieckiej w roku 1109”, Wł. Korcza „Próby odzyskania

utraconych ziem nadodrzańskich i nie uzyskane możliwości dziejowe w XIV i XV wieku", Z. Rutkowski „Z dziejów pogranicza brandenbursko-dolnośląskiego w pierwszym ćwierćwieczu XX stulecia”, Wł. Wołoszyna „Wyzwolenie Ziemi Lubuskiej w 1945 roku”.

Pierwszy z autorów B. Miśkiewicz, zgodnie zresztą z tytułem swego artykułu, główny nacisk położył na historię wojskowości okresu wczesnofeudalnego, koncentrując uwagę na takich zagadnieniach jak umocnienia obronne nad granicą zachodnią (grody, wały, przesieki), obowiązki wojskowe ludności, organizację wojska, a wreszcie krótki przegląd bitew stoczonych w obronie granicy zachodniej Polski wczesnofeudalnej. Naturalnie wszystko to jest podane w formie bardzo skrótovej, sygnalizującej jedynie zagadnienia, a nie kuszącej się o ich precyzyjne rozwiązanie. Artykuł B. Miśkiewicza ilustrowany jest szeregiem bardzo przejrzystych mapek oraz rysunków. Uzupełnieniem pracy B. Miśkiewicza jest artykuł A. Kucnera analizujący przebieg wojny polsko-niemieckiej w 1109 roku.

Dość trudny problem do rozwiązania stanął przed Wł. Korczem, który w krótkim artykule przedstawić miał całą złożoną problematykę polityczną związaną z utratą ziem środkowego Nadodrza. Należało tu omówić fragmenty dziejów Śląska, Nowej Marchii, Brandenburgii, no i naturalnie Polski. Autor omawianego artykułu potrafił w formie nader potocznej w oparciu o dotychczasową literaturę ukazać losy tych ziem polskich, które przeszły pod obce panowanie oraz polityczne tego skutki.

Odmienne nieco charakter nosi artykuł Z. Rutkowskiego pt. „Z dziejów pogranicza brandenbursko-dolnośląskiego w pierwszym ćwierćwieczu XX stulecia”. Wprawdzie tytuł artykułu nie sugeruje zasadniczo czym autor pragnie się zająć, ale podtytuły wskazują, że chodzi tu w pierwszej części o wykazanie „ciężenia Ziem Zachodnich w kierunku Polski” i ukazanie „stosunków naro-

dowościowych na pograniczu”, w drugiej zaś części Z. Rutkowski zajmuje się „pograniczem w czasie powstania wielkopolskiego i rewolucji listopadowej w Niemczech”. Zagadnienia, które autor pragnął przedstawić są nader frapujące i do tego czasu właściwie niezbadane i tu trzeba podkreślić zasługę autora w poruszeniu tego tematu. Nasuwają się jednak wątpliwości czy w oparciu o tak wąską bazę źródłową jaką zaprezentowano w tym szkicu mógł autor wysunąć tak daleko idące wnioski, w wielu przypadkach oparte na głosolownych przesłankach, których nawet w samym artykule autor nie sformułował przejrzysto. Ponadto Z. Rutkowski nie operuje żadnymi danymi cyfrowymi, choćby nawet niemieckimi, które mogłyby uprawdopodobnić jego ustalenia, a przecież w artykule jest mowa o stosunkach ludnościowych na pograniczu.

Już na samym wstępie lektury tego artykułu czytelnik zadaje sobie pytanie co oznacza termin „Ziemie Zachodnie” oraz jak autor pojmuje znaczenie terminu „Polska”, biorąc naturalnie pod uwagę fakt, że autor w omówieniach pierwszej części swego artykułu sięga początku XIX wieku a więc okresu po rozbiorach. Już sam podtytuł „ciężenie Ziem Zachodnich w kierunku Polski” wymaga uściślenia. Operowanie bowiem współczesnymi terminami i dopasowywanie ich do stosunków politycznych i państwowych XIX wieku jest ahisteryczne i sądzę, że autor winien o tym pamiętać.

Pierwsza część omawianego artykułu pisana jest bez myśli przewodniej, która ukazywałaby sprecyzowane w tytule zagadnienia. Złożyły się na to fragmenty ogólnikowych twierdzeń ubogich w treści i nader powierzchownych, pomylenie pojęć takich jak „Ostflucht”, „Landflucht”. Nie będę tu przytaczał wielu przykładów, ale podam jeden: Podział polskiej ludności pogranicza (s. 127) na trzy grupy, z których pierwsza obejmuje środowiska zwarte — Babimojszczyzna, Pszczew i Ziemia Złotowska (słusznie), druga „ludność wiejską całego pogra-

nicza żyjącą w rozproszeniu..." i trzecia „ludność polską zamieszkałą w miastach”. A więc „pogranicze polsko-niemieckie” (str. 117) jak pisze na wstępie autor (w tytule artykułu pogranicze brandenbursko-dolnośląskie) obejmujące długi pas od opolskiego Namysłowa po Żłotów i Bytów, w końcowych wnioskach autora skurczyło się do Babimostu, Pszczewa i Ziemi Żłotowskiej. Po cóż więc było tak szeroko kroić w tytule, gdy artykuł się z nim nie pokrywa?

Druga część artykułu już jest bardziej poprawna, ale też i badania nad Powstaniem Wielkopolskim są daleko posunięte. Szkoda tylko, że autor nie uwzględnił w swej pracy najnowszej literatury z tego zakresu a w szczególności referatów i dyskusji historyków polskich i z NRD wygłoszonych na sesji naukowej poświęconej Powstaniu Wielkopolskiemu. (Studia i Materiały do Dziejów Wielkopolski i Pomorza t. V z. 2, 1959 r.). Szczególnie cenne są tu referaty K. Piwarskiego, omawiające stosunki polsko-niemieckie w latach 1918-1919 oraz E. Paterny z Berlina pt. „Die revolutionäre Situation in Deutschland 1917-19”. Uniknąłby wówczas autor wielu nowych odkryć i mógłby się odwołać do prac opartych na materiałach z archiwów niemieckich.

Cytując źródła archiwalne winien autor podawać sygnatury akt lub też archiwum skąd je uzyskał, a nie stwierdzić tylko, że „większość z nich nie jest jeszcze udostępniona” (str. 167). Przy podawaniu nazw miejscowości leżących na terenie NRD trzeba podawać ich niemiecką nazwę (str. 141 przypis). Gorlice to napewno — Görlitz — Zgorzelec.

Pisaliśmy już, że końcowe wnioski autora są głośowne, a co najważniejsze w wielu przypadkach zupełnie nie związane z pracą.

Widocznie dopiero na tym miejscu pragnie autor wykazać „ciążenie Ziemi Zachodnich w kierunku Polski” i to poczynając od XIV w. (sic), o którym to okresie w artykule

w ogóle nie było mowy. Najbardziej niespodziewane jednak jest to, że autor w pewnym stopniu popiera tezy historyków niemieckich, którzy wskazywali na słaby rozwój rzemiosła w Polsce w latach szlacheckiej Rzplitej, skoro pisze, że „w sklepach sukienicznych Poznania, Gniezna, Kalisza i szeregu innych miast 90 proc. sukna pochodziła z ziem zachodnich”. Może jednak trzeba było głębiej rozważyć rozwój tkactwa w Wielkopolsce, produkującego nie tylko na potrzeby rynku wewnętrznego, ale wysyłającego swe towary do Rosji i na granice Chin, o czym pisali nawet pruscy urzędnicy z końca XVIII stulecia. W wielu wypadkach dzięki zamówieniom otrzymywanym właśnie z miast wielkopolskich mogło istnieć nadal sukiennictwo w takich miastach jak Świebodzin czy Sulechów. Zresztą trudno polemizować na ten temat z autorem, który jednym zdaniem obejmuje okres od XIV do XIX wieku.

Zupełnie nie wiadomo co autor ma na myśli pisząc, że „w XIX wieku cały przemysł, linie kolejowe i arterie komunikacyjne łączyły ziemie zachodnie w znacznie większym stopniu z Polską, niż w okresie feudalnym”. Jeszcze raz więc nasuwa się pytanie co autor rozumie w XIX wieku pod pojęciem „Ziemie Zachodnie”, „Polska”, a wreszcie „okres feudalny”. Stwierdza dalej autor, że „Wyobcowaly się one z organizmu gospodarczego Rzeszy Niemieckiej i ciążyły silnie w kierunku ziem polskich, na których znajdowały się bazy surowcowe, rynki zbytu i rynek sił roboczych”. I to zdanie nie wymaga komentarzy, wystarczy je tylko skrupulatnie przeanalizować. Nie zastrzymuję się nad innymi wnioskami końcowymi. Są podobne do tych, które przytoczyłem.

Z dużą przyjemnością czyta się artykuł W. Wołoszyna omawiającego wyzwolenie Ziemi Lubuskiej w 1945 roku oraz walki nad Odrą i Nysą Łużycką. Pisany jest bardzo jasno i zwięźle, a śledzenie działań wojennych ułatwiają przejrzyste szkice. Dobrze,

że artykuł W. Wołoszyna znalazł się w „Szkicach” wespół z artykułem B. Miśkiewicza, omawiającego obronę polskiej granicy zachodniej w okresie wczesnofeudalnym. Czytelnikowi kojarzą się tereny i miejsca walk oraz fakt przynależności historycznej tych ziem, które w 1945 roku wywalczone krwią żołnierzy radzieckich i polskich znalazły się w granicach ludowego państwa polskiego.

Na koniec kilka słów poświęcić trzeba stronie graficznej i technicznemu opracowaniu „Szkiców”. Na pierwszy rzut oka widać że całe strony artykułów są niezadrukowane i niewiadomo często dla jakiej przyczyny. Rozdział od rozdziału oddzielony został białą niezadrukowaną plamą co psuje zwartość tekstu. Czcionka nie wszędzie szczęśliwie w tytułach rozdziałów dobrana. Notki umieszczone są raz w tekście i drukowane tą samą czcionką, a raz jak w artykule Z. Rutkowskiego notki drukowane są w układzie kolumnowym, co trzeba przyznać jest dużą innowacją technicznego układu, nigdzie dotąd niespotykaną. Układ przez to jest bardzo niespokojny. Brak jest też żywej paginy. Pod względem technicznym „Szkice” nie zostały dopracowane.

Ilustracje w tekście nie zawsze łączą się z treścią artykułów, ale wydawcom, sędzę, chodziło, ażeby czytelnikom ukazać możliwie jak najwięcej dokumentów świadczących o polskości ziem środkowego Nadodrza. Podpisy jednak nie zawsze szczęśliwie dobrane. Przy dokumentach miejskich trzeba było dodać choć w jednym zdaniu, że miasta, których dotyczą, dopiero w 1793 roku dostały się pod panowanie pruskie, a nie jak na str. 75 stwierdzać, że „pomimo germanizacyjnej polityki Fryderyka II po rozbiorach Polski, nazwiska niemieckie pojawiają się dopiero od roku 1820”, gdyż miasta te zabrane zostały przez Prusaków po śmierci Fryderyka II. Kazimierz Lisowski założyciel Towarzystwa Rzemieślników Polskich nie „zmarł” przecież w 1959 roku?

Te wszystkie uwagi nasunęły się mi nie przy lekturze „Szkiców”. Nie można powiedzieć, ażeby były one przedsięwzięciem w pełni udanym, tym niemniej sam fakt podjęcia prezentowanej w nich tematyki i jej spopularyzowanie godne są podkreślenia.

„Nadodrzańskie szkice historyczne” str. 272, wyd. LTK – Zielona Góra 1960 r., cena zł 35,-

ZDZISŁAW KACZMARCZYK

MIASTA ZACHODNIEGO POGRANICZA WIELKOPOLSKI

Praca prof. Jana Wąsickiego, kierownika stacji naukowej PTH w Zielonej Górze, daje punkt wyjścia do wyrażenia pewnych ogólnych spostrzeżeń na temat badań nad historią ziem województwa zielonogórskiego. Do r. 1945 historia ta będzie w ramach różnych tworów państwowych, względnie różnych prowincji państwa niemieckiego.

Właściwie dopiero od r. 1945 można mówić o jednolitej historii całości ziem województwa zielonogórskiego (z wyjątkiem południowej części dawnych dolnośląskich względnie łżyckich powiatów, które włączono do województwa w r. 1950). W miarę upływu lat od 1945 r. narasta coraz bardziej nowa wspólna historia ziem województwa zielonogórskiego i należy się cieszyć, że będzie ona w ramach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, w okresie budowy socjalizmu. Przed rokiem 1945 dzieje ziem województwa zielonogórskiego wchodziły w ramy syntez względnie monografii

dotyczących Śląska, Wielkopolski, Łużyc, Brandenburgii (Ziem Lubuskiej, Nowej Marchii), a nawet Pomorza. Narzekania na niezajmowanie się dziejami województwa zielonogórskiego, jakie niejednokrotnie słyży się ostatnio, nie zawsze są racjonalne. Wiele materiałów odnoszących się do dziejów województwa zielonogórskiego pojawia się w artykułach i pracach, dotyczących zwłaszcza Śląska i Wielkopolski. Narzekania mają właściwie rację tylko w stosunku do powiatów b. Nowej Marchii (do r. 1250 Ziemi Lubuskiej), co obejmuje jednak drobną część dzisiejszego województwa zielonogórskiego.

Praca prof. Wąsickiego wychodzi na przeciw potrzebom społeczeństwa woj. zielonogórskiego. Stanowi dobry przykład, jak można traktować historię tych ziem, nie naruszając dawnego podziału historycznego, a czyniąc zadość współczesnym potrzebom. Stąd tytuł „Miasta zachodniego pogranicza Wielkopolski”. Jest to jedynie słuszny sposób traktowania dziejów przed r. 1945. Zaznaczony on jest jako przyjęta zasada na wstępie.

Praca zajmuje się tematyką miejską na stosunkowo krótkim odcinku czasu 1793 — 1815 roku. Jest to okres ważny, przejściowy między panowaniem Rzeczypospolitej w tych miastach, a ustabilizowaniem się w nich od r. 1815 panowania Prus. Okres ten nie był prawie przez historyków niemieckich badany, miasta te bowiem wykazywały w latach 1793—1806 upadek, a nie rozkwit pod rządami pruskimi, jak mogłoby się wydawać a priori niemieckim historykom burżuazyjnym. Dla historyków polskich szczególne znaczenie posiadają opisy miast, sporządzone przez urzędników pruskich przy współudziale polskich magistratów jeszcze w r. 1793, a więc zaraz po zajęciu kraju. Dane te podsumowują działalność polską z okresu reform w miastach, i jako bardzo szczegółowo stanowią dokładny bilans tej działalności.

Autor zdołał zgromadzić opisy te, jak również późniejsze, przy okazji badań w archiwach NRD.

Po omówieniu źródeł i opracowań oraz celu pracy, autor przedstawił dzieje tych miast w schyłku szlacheckiej Rzeczypospolitej na tle rozwoju miast całej Wielkopolski, imigracji wychodźców niemieckich, rozwoju przemysłu sukienniczego. Z kolei autor zestawia w każdym z poszczególnych miast ich stan z r. 1793. Są to bardzo dokładne dane opisowe i cyfrowe, dotyczące budynków, ludności, życia gospodarczego, ustroju, dochodów miasta i życia wyznaniowego oraz oświaty. W ten sposób opisane są miasta: Babimost, Bledzew, Brójce, Kargowa, Międzyrzecz, Pszczew, Skwierzyna, Szlichtyngowa, Trzciel i Wschowa. Ten sposób przedstawienia materiałów uznać należy o tyle za celowy, że charakteryzuje on poszczególne ośrodki z różnych punktów widzenia, równocześnie pozwalając badaczom regionu, czy też zainteresowanym w historii danego miasta czytelnikom na łatwe wyłowienie interesujących ich materiałów lokalowych. Materiały zaś są naprawdę bogate, wszechstronne i ogłoszone po raz pierwszy. Mogą z nich również korzystać badacze do swoich prac historycznych.

Stan, jaki na podstawie tych zestawień rysuje się, nie jest obrazem zastoju czy upadku miast, jak podkreślili to autorzy niemieccy. Miasta te w ramach Rzeczypospolitej miały szanse dalszego rozwoju, a zajęcie ich przez Prusy nie było dla nich wybawieniem.

Rysując w dalszym rozdziale sytuację Wielkopolski po zajęciu jej w r. 1793 przez Prusaków, autor naświetla ich politykę miejską, następnie wypadki związane z Powstaniem Kościuszkowskim oraz dalsze dzieje tych miast. Pod koniec rozdziału, przy omawianiu akcji konfiskaty dóbr i ich rozdawnictwa junkrom pruskim, autor przez przeoczenie wymienił zbyt wiele miejscowości leżących dziś przeważnie w województwie poznańskim. Autor poszedł tu za

zawodnym kryterium podziału administracyjnego z czasów Prus Południowych i w rozważania swoje wciągnął miejscowości położone w ówczesnych powiatach: Międzyrzecz, Babimost i Wschowa. Powiaty te wówczas sięgały aż po Sieraków, Lwówek, Wolsztyn, Śmigiel i Osieczną. Tak się złożyło, że większość wymienionych wsi leży dziś w woj. poznańskim i na 8 grup majątków, zaledwie 2 leżą w całości w dzisiejszym woj. zielonogórskim (majątki v. Leschesini i h. v. Unruh). Z posiadłości ks. Hohenlohe-Ingelfingen tylko Pszczew leży w woj. zielonogórskim, a hrabia v. Kayserlink otrzymał Łupice i Spokojną, leżące w woj. zielonogórskim. Ogółem na 41 wymienionych miejscowości, w woj. zielonogórskim leży dziś 19 miejscowości. Wymienione w dobrach markiza v. Leschesiniego wsie nowomarchijskie powinny być podane w brzmieniu polskim. Wymieniona na końcu wieś Deutsch Presse, to Przysieka Stara, leżąca między Śmiglem a Kościanem.

W następnym rozdziale autor omawia bilans rządów pruskich w latach 1793—1806, cytując wiele cennego materiału statystycznego z miast zachodniego pogranicza Wielkopolski. Bilans tych rządów jest raczej negatywny. Autor słusznie podkreśla, że nastąpiło wówczas ograniczenie samorządu miejskiego i upadek znaczenia politycznego mieszczaństwa, również sytuacja

gospodarcza miast znacznie się pogorszyła.

Książkę kończy rozdział poświęcony okresowi Księstwa Warszawskiego. Miasta pogranicza zachodniego spadły wówczas ludnościowo na skutek odpływu części ludności niemieckiej. Mimo wysiłków władz, czasy wojenne nie bardzo mogły sprzyjać dalszemu rozwojowi miast. Zresztą dopiero po 1815 r. już w ramach Prus doszło do zupełnego upadku wielu miast, zwłaszcza tkackich.

W książce gdzieniegdzie korekta jest niestaranna. Szczególnie rażący błąd korektowy powstał np. na str. 52, gdzie zamiast „w styczniu 1773 r.” powinno być „w styczniu 1793 r.”.

Praca prof. Wąsickiego jest na pewno bardzo pożyteczną publikacją, do której ze względu na jej walory źródłowe zaglądać trzeba będzie często, gdy opisywać się będzie dzieje miast pogranicza Wielkopolski w latach 1793—1815. Drobne w gruncie rzeczy potknięcia, nie wpływają w żadnym stopniu na pozytywną ocenę całości. Pochwalić też chyba wypada Wydawnictwo Poznańskie za piękną okładkę.

Jan Wąsicki, Miasta Zachodniego Pogranicza Wielkopolski 1793 — 1815; str. 103, Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Zielonej Górze i Lubuskie Towarzystwo Kultury, Biblioteka Lubuska, zeszyt 5, — Wydaw. Pozn. — Zielona Góra — Poznań 1960 r., cena zł 10,—.

TADEUSZ KAJAN

DOKUMENTY DĄBROWIECKIE

W oparciu o odnalezioną w powiatowym archiwum w Międzyrzeczu teczkę popolicyjnej dokumentacji, Wiktor Lemiesz przygotował drugą z kolei publikację o dąbrowieckiej społeczności polskiej. Wydana

przez Wydawnictwo Zachodnie ZAP — „Dąbrówka Wielka — przyczynek do dziejów polskiej ludności rodzimej”; jest opracowaniem ściśle dokumentalnym, niejako źródłową wersją pierwszej dąbrowieckiej publikacji Lemiesza. „Dąbrówka pod okiem hitlerowskiego żandarma” ma także w tym kolejnym tomiku (V) ZAP-owskiej serii „Świadectwa niemieckie” niezbędne uzupełnienie przede wszystkim z metodologicz-

nego punktu widzenia. W „Dąbrowce...”, która ukazała się w Wydawnictwie Poznańskim, brakło zarówno szczegółowego wykazu zawartości hagemannowskiej teczki nr II/42/15-I, jak i aneksu z tekstami ważniejszych dokumentów w języku oryginału. Wszystko to przynosi natomiast ZAP-owska publikacja Lemiesza. Teksty oryginalne ogłoszono w formie wyjątkowo czytelnych fotokopii jako oddzielnie oprawiony aneks. Z braku miejsca — co zaznacza wydawnictwo — chronologiczny spis zawartości teczki obejmuje okres od 1 stycznia 1938 r. do 20 września 1939 r., byłoby więc wskazane, aby dla podobnego kalendarzyka za lata 1935 — 1937 znalazło się miejsce w jednym z najbliższych tomów „Rocznika Lubuskiego”. Tak bowiem jak przygotował ów spis Lemiesz, materiał ma walory nie tylko rejestracyjno-informacyjne, lecz bezpośrednio merytoryczne — nie mniej można z niego dowiedzieć się o życiu Polaków dąbrowieckich w danym okresie, co z obszernych relacji.

Trzydzieści osiem hitlerowskich instytucji zajmowało się w latach 1938-39 dąbrowieckim bastionem polskośći, kontynuując z zaciekłością i pomysłowością bezwzględną germanizację. Krótki szkic Lemiesza „Wielka Rzesza w walce z małą Dąbrowką”, poprzedzający część ściśle dokumentalną, wprowadza czytelnika zwięzłą i rzetelną relacją w tajniki, metody i efekty działania

niemiecko-nazistowskiej antypolskiej batalii. Komentarz autora omawia to zagadnienie w trzech działach — „Walki na płaszczyźnie gospodarczej i kulturalnej” oraz „Represji i terroru”. Numerowane odnośniki na marginesie odsyłają czytelnika do odpowiednich tekstów oryginalnych dokumentów i ich tłumaczeń.

Doniosłość obu dąbrowieckich publikacji Wiktora Lemiesza polega na tym — cytujemy z przedmowy Wacława Sobańskiego do ZAP-owskiej edycji archiwalii policyjnych — że „jak w kropli rosy odbija się sytuacja mniejszości polskiej w Niemczech i cała polityka germanizacyjna”, która była walką stałą, codzienną sięgającą do wszelkich dziedzin, do najdrobniejszych przejawów życia, traktując je wszystkie na płaszczyźnie politycznej, obejmując każdego członka mniejszości niemal od kolebki, prowadzona z całą siłą stojących do dyspozycji sił i środków. Z tego totalnego mołocha prześladowań, szykan, represji jedno było na ogół wyjście — renegactwo.

Dąbrowka temu oparła się, oparło się półtora miliona Polaków w b. Rzeszy — kto odsłoni mechanizm tego procesu, zanalizuje siły napędowe, przejawy? Przyczynę do opracowania tej pierwszorzędnej sprawy przynoszą także książki Lemiesza.

Wiktor Lemiesz „Dąbrowka Wielka”: Przyczynę do dziejów polskiej ludności rodzimej. Świadczenia niemieckie — Zeszyt 6 Wydawnictwo Zachodnie Poznań — Warszawa 1959.

FELIKS FORNALCZYK

PRZESZŁOŚĆ ZIEMI LUBUSKIEJ W WYPISACH

Rok 1960 przyniósł już drugie wydanie „Dziejów Ziemi Lubuskiej w wypisach” przygotowanych przez dwóch autorów, Michała Szczanieckiego i Władysława Korcza, związanych od lat swoimi przedsięwzięciami badawczymi z historią Zielonej Góry.

Książka, przeznaczona w zasadzie na użytek szkolny, została wydana przez Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych. Należy mieć nadzieję, że tom wypisów historycznych z przeszłości Ziemi Lubuskiej zainauguruje serię publikacji tego rodzaju, poświęconych poszczególnym regionom Polski.

O pilnej potrzebie i pożytku takich wyborów źródeł oraz wypisów z literatury historycznej na użytek szkoły mówiło się u nas

nie raz i nie przy jednej okazji. Mówili przede wszystkim nauczyciele, lecz w gronie postulujących nie brakowało również działaczy politycznych i społecznych. Rozumiano, że młody obywatel, który zdobywa naukę w szkołach Polski zachodniej, musi zapoznać się bliżej z przeszłością historyczną tej części kraju, czego ogólnopolski podręcznik nie gwarantuje w stopniu wystarczającym.

Dobrze się stało, że właśnie profesor Michał Szczaniecki —współ z magistrem Władysławem Korczem — zajął się przygotowaniem pierwszej publikacji wypisów do nauki historii. Siłą faktu nabiera ona większego znaczenia merytorycznego, staje się opracowaniem niejako wzorcowym, które z pewnością, będzie brane pod uwagę przez autorów, przygotowujących książki tego rodzaju dla innych regionów. Działalność społeczna w TRZZ, badania naukowe i publikacje dotychczasowe, oraz działalność pedagogiczna, całkowicie upoważniają profesora Szczanieckiego do takiej „pionierskiej” pracy edytorskiej.

Wybrane teksty autorzy porządkują według bardzo przejrzystego podziału chronologicznego, od okresu monarchii wczesnofeudalnej począwszy, a na okresie II wojny światowej kończąc. Oczywiście, nie wszystkie poszczególne okresy, autorzy wypisów wyodrębniają ich siedem, obrodziły w równą ilość godnych przytoczenia przekazów i świadectw historycznych. Oddając głos dawnym kronikarzom i historykom nowszej doby, autorzy nie mogli uniknąć luk i białych plam w obrazie minionych dziejów Ziemi Lubuskiej. Książka nie jest zresztą naukową edycją źródeł do historii regionu lubuskiego.

Najwięcej tych luk w odniesieniu do dziejów najwcześniejszych, chociaż wszystko godne cytowania znajduje się w tej książce. Znacznie gorzej przedstawia się natomiast rzecz w wypadku dokumentacji czasów przynależenia Ziemi Lubuskiej do Prus. Chodzi tu przede wszystkim o wiek XVIII i XIX, które nie tylko zostały zobrazo-

wane mniejszym zasobem świadectw, ale także traktują o węższym zakresie zjawisk politycznych, gospodarczych i społecznych. Okres kapitalizmu, bo o to w zasadzie chodzi w tym przypadku, zasługiwałby zaś na pewno na tym dokładniejsze zrelacjonowanie, że stanowi on najbardziej dydaktyczne porównania z czasami dzisiejszymi.

Dwudziestolecie międzywojenne oraz lata II wojny światowej zostały znowu ukazane bardziej wyczerpująco w wypisach zwłaszcza w odniesieniu do ludności rodzimego pochodzenia oraz działalności legalnych stowarzyszeń polonijnych, które autorzy prezentują z pomocą materiałów archiwalnych. Wydaje mi się zresztą, że autorzy zbyt skromnie korzystają z archiwaliów w swoim opracowaniu, podobnie jak nie uwzględniają nowszych opracowań książkowych, wykorzystujących dokumenty archiwalne.

Autorzy „wypisów lubuskich” przyjęli słuszną zasadę nie ograniczania się tylko do wyboru źródeł polskich do dziejów Ziemi Lubuskiej, ale cytują również źródła niemieckie, nawet w tych wypadkach, jeśli nie są one przychylne dla Polaków. W wypisach znajdziemy więc fragmenty z kroniki Thietmara, fragmenty „Codexu” Riedela, „Historii” Wedekinda, Treus, Wotschkego, Hoffmana, Ziekurscha, Beckera i innych. Oczywiście skomentowane i należyte się tłumaczące.

Przeważającą część materiałów historycznych, co jest oczywiste, wybrali autorzy książki ze źródeł polskich, zarówno kronikarskich jak i nowszych opracowań naukowych. Co godne podkreślenia, pewną część materiałów typu dokumentalnego uzyskali autorzy wypisów od badacza regionalnego, Józefa Stępczaka ze Wschowy, co wyraźnie zaznaczają w publikacji. Dzięki temu dowiadujemy się bardzo interesujących szczegółów z działalności polskiego gimnazjum we Wschowej w roku 1822 oraz patriotycznego Towarzystwa Tomasza Zana w czasach rządów Bismarcka.

Jak świadczy ten choćby tylko przykład: autorzy wypisów starali się dać możliwie

szeroki pogląd na dzieje Ziemi Lubuskiej, nie pomijając zagadnień życia kulturalnego, oświatowego czy artystycznego. Tę ostateczną sprawę omówili na przykładzie za- bytków sztuki i architektury. Pełna zresztą wymowa wypisów Michała Szanieckiego i Władysława Korcza nie polega na ich własnym słowie, ale na przytoczeniu słów innych autorów, które nabierają właściwego, jednoznacznego sensu na skutek wkomponowania w odpowiednie miejsce książki.

Autorzy książki dobierają wypisy tak, że oświetlają one poszczególne zjawiska i wydarzenia z wielu różnych punktów widzenia. Dość częstym tego przykładem jest zestawienie zapisów historycznych niemieckich i polskich. W innych wypadkach przytaczają różne wypowiedzi na ten sam temat samych Niemców. Wszędzie jednak przytoczenia te są tak wymowne, że nie trzeba ich opatrywać jakimiś tasiemcowymi komentarzami.

Komentarze te wymagają zresztą od- dzielnej wzmianki. Otóż są one krótkie, rzeczowe, nie wysuwają się na pierwszy plan, tak jak to powinno być w tego ro- dzaju opracowaniu. Główną rolę spełnia- ją więc tu istotnie wypisy ze źródeł i opra- cowań historycznych, przytoczone także we fragmentach najistotniejszych. Książka poz- bawiona została w wyniku tego charakte- ru chrestomatii czy antologii, rządzi się własną odrębną narracją.

Można o niej powiedzieć, że autorzy mówią o dawnych dziejach Ziemi Lubu- skiej obrazami i faktami, zaczerpniętymi w najważniejszych fragmentach z całej bi- blioteki wcześniejszych ujęć tematu. W pra- cy Michała Szanieckiego i Władysława Korcza daje się rzeczywiście dostrzec kon- sekwentnie określony i przeprowadzony za- miar kompozycyjny, wielki wkład pracy re- dakcyjnej oraz prawie absolutne podpo- rządowanie całego cytowanego materiału dokumentalnego jednej koncepcji wykładu.

Jeśli można mieć pretensje do autorów, to sprowadzają się one do zbyt chyba o- szczędnego ujęcia własnego komentarza

autorów książki. W miarę rozwijania „wy- kładu” staje się ten komentarz coraz szczy- plejszy, prawie wyłącznie informacyjny i nazbyt nawiązujący do samych przytocz- nych tekstów. Sądzę, że nie zaszkodziłoby tej książce, gdyby każdy okres historyczny został poprzedzony jakimś obszerniejszym opisem ogólnym sytuacji społeczno-poli- tycznej.

Wykład dziejów Ziemi Lubuskiej nie na- leży bynajmniej do przedsięwzięć łatwych, na co wskazują na wstępie sami autorzy książki. Polskość ustępowała przed napo- rem niemieczyny poprzez stulecia, w trak- cie nieustannych zmagania. Sytuację poli- tyczną komplikowały na tym obszarze sfe- ry różnych interesów, sięgały tu bowiem wpływy Brandenburgii, austro-czeskiej mo- narchii Habsburgów, księstwa saskiego, które w znacznym stopniu przyczyniły się do przechylenia szali na korzyść Prus w decydującym momencie rozgrywek polsko- niemieckich. Okoliczności te wymagałyby więc komentarza bardziej szczegółowego, charakteryzującego sytuację w poszczegól- nych etapach historii.

Pewnie, zadanie trudniejsze, ale prze- cież nie ponad możliwości autorów tej pu- blikacji. Publikacji, którą łatwo sobie wy- obrazić jako jedyne całościowe ujęcie hi- storii Ziemi Lubuskiej. Przygotowanie wy- pisów dawało okazję do stworzenia takiej syntetycznej podręcznikowej kopalni wie- dzy o przeszłości regionu. „Dzieje Ziemi Lubuskiej w wypisach” spełniają taką rolę częściowo.

Złożyć zaś można, że wypisy nie mu- siałyby wyłącznie być przeznaczone dla po- trzeb nauczycieli i uczniów, ale i dla in- teligencji, robotników, chłopów. Istnieje bo- wiem nadal potrzeba popularnych opra- cowań historycznych dla szerszego kręgu czy- telników, którą nieco inaczej ujęte edycje wypisów mogłyby już w dużym stopniu za- spokojić.

Michał Szaniecki, Władysław Korcz: „Dzieje Ziemi Lubuskiej w wypisach”. W-wa 1960, Pań- stwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, str. 175.

MICHAŁ SZZANIECKI

**BALAMUTNY INFORMATOR
HISTORYCZNY**

Omawiana książka stanowi trzecie wydanie pracy ogłoszonej po raz pierwszy w 1947 r. pod tytułem „200 miast wraca do Polski”, zaś po raz drugi w 1949 r. pod tytułem „200 miast wróciło do Polski”.

Wydania poprzednie tej książki, jako nie należące do literatury naukowej, nie spotykały się nigdzie z właściwą krytyką naukową. Oba wydania ukazały się w tym czasie, kiedy krótko po wyzwoleniu, zapotrzebowanie na wszelkie informacje historyczne o Ziemiach Zachodnich były olbrzymie. Uważano wówczas widocznie, że lepiej będzie przemilczeć fakt ukazania się tej na wskroś amatorskiej książki niż ogłaszać recenzje, które przy zastosowaniu krytyki naukowej musiałyby wypaść bardzo niekorzystnie dla książki. Z książką omawianą spotkałem się w 1947 r. w okresie prowadzenia w Instytucie Zachodnim prac redakcyjnych nad Monografią Ziemi Lubuskiej. Jasne jest, że w zespole redakcyjnym Monografii Ziemi Staropolskiej uświadomiliśmy sobie od razu, że dla dalszych prac nad monografiami Ziemi Zachodnich, książka dra Grabskiego nie będzie mogła być żadną pomocą. Nic też w tym dziwnego, że nawet organ Instytutu Zachodniego, „Przegląd Zachodni” recenzji z „200 miast” nie ogłosił.

Jestem przekonany, że stanowisko podobne było słuszne, niemniej jednak nie długo trzeba było czekać również i na ujemne skutki przyjmowania zasady, że „lepszą jest informacja gorsza od żadnej”. W samym fakcie, że książka dra Grabskiego rozeszła się wówczas szeroko wśród społeczeństwa polskiego nie było nic złego, zważywszy, że w czasie tym nie można było jeszcze dać społeczeństwu niczego lepszego. Ujemne strony rozprzestrzenienia

się tej książki wynikały z tego, że wielu czytelników, publicystów i amatorów regionistów zaczęło książkę Grabskiego uważać za autorytatywną i zaczęło się na nią powoływać. Tak więc powiedzieć można, że ten wczesny siew, który był zasługą dra Grabskiego i który pobudził wśród mieszkańców Ziemi Zachodnich zainteresowanie dla ich nowej ojczyzny, zaczął z czasem zachwaszczać teren, na którym nauka polska rychło zaczęła uprawiać o wiele bardziej szlachetne rośliny. Spotykając się często z rękopisami prac popularno-naukowych, regionalnych, na których rozwoju tak nam zależy, nieraz stwierdzić mogłem występowanie w nich błędów wywodzących się z książki dra Grabskiego. Cokolwiek by nie było, gdyby dr Grabski poprzestał na obu wydaniach z 1947 i 1949, można by stwierdzić, że pracami tymi przysłużył się polskim Ziemiom Zachodnim dając im pracę „informator” o miastach zawierający wiele również i prawdziwych wiadomości, a który przez długi czas nie był zastąpiony niczym lepszym i który odegrał w swoim czasie pozytywną rolę. W miarę ukazywania się coraz liczniejszych prac historycznych stojących na naukowym poziomie, książka dra Grabskiego stawała się zbędną.

I otóż w 1960 r. nastąpiło wydarzenie, którego na pewno nie mógł przewidywać żaden z historyków polskich w r. 1947 czy 1949. Dr Grabski zdecydował się na wydanie książki w nowym, zasadniczo nie zmienionym i nie poprawionym (a raczej tylko rozszerzonym) wydaniu. Oczywiście dr Grabski mógłby nawet z pożytkiem przygotować trzecie wydanie — jednak pod kilku zasadniczymi warunkami. Nowe wydanie musiałyby ulec gruntownej przeróbce, autor musiałby poprawić dotychczasowe błędy, to znaczy napisać książkę na nowo, następnie uwzględnić w niej cały nowszy dorobek nauki polskiej. Autor dodał do

nowego wydania dość dużą ilość nie zaw-
sze budzących zaufanie i absolutnie nie-
systematycznych wiadomości o powojennej
odbudowie miast na Ziemiach Zachodnich,
niestety jednak nie dokonał prawie żad-
nych zmian o odniesieniu do dawnej za-
wartości książki — i to właśnie jest nie-
wybaczalne. Jest rzeczą zdumiewającą, że
te same grube błędy, usterki, ba, nawet
błędy „korektowe” autor konsekwentnie
przeprowadza przez wszystkie trzy wyda-
nia swej książki. Przykładem tego jest np.
informacja o tym, że Jeremi Wiśniowiecki
walczył w 1656 ze Szwedami pod Prostka-
mi — mimo, że jak wiadomo, ten znany
bohater „Ogniem i Mieczem” już od 1651
roku leżał w grobie. Podobnie też np. o-
statni wielki mistrz krzyżacki Albrecht Ho-
henzollern występuje (w pocz. XVI w.) jako
margrabia brandenburski itp. Powiedzieć
nawet można, że większość błędów, na któ-
re niżej wskaże, wywodzi się już z wydań
poprzednich. Oczywiście do trzeciego wy-
dania wdarło się wiele nowych, jak np.
umieszczenie muzeum Kocha „w Olsztynie”
zamiast w „Wolsztynie”, czy przeniesienie
słynnego tympanonu romańskiego do kujaw-
skiego Strzelna do dolnośląskiego Strzeli-
na.

Tak więc, o ile pierwsze wydanie książki
Grabskiego zasłużyło na tolerancję, to u-
kazanie się w 1960 r. trzeciego, zasadni-
czo nie zmienionego wydania i to w bardzo
dużym nakładzie, trąci skandalem. Nic też
dziwnego, że książka ta spotkała się już z
bardzo surową krytyką na łamach prasy.
Jako pierwszy zarzuty swe pod adresem
„300 miast” sformułował prof. S. Gola-
chowski z Wrocławia, który na łamach
wrocławskiej „Odry” w artykule ogłoszo-
nym w numerze majowym (1961 r.) pt.
„Dezinformator historyczny o 300 miastach”
dał druzgocącą ocenę tej pracy głównie
na podstawie analizy materiału śląskiego.
Z kolei na łamach warszawskiej „Polityki”
wystąpił Edward Martuszeński wykazując
nieprawdopodobną ilość błędów w opisach
miast Warmii i Mazur. Wreszcie i ja za-

brałem głos na łamach „Przeglądu Kultu-
ralnego”, tak uzasadniając swe wystąpie-
nie: „Wiadomo powszechnie, że praca po-
pularyzatorska jest nadzwyczaj odpowie-
dzialna i że każda błędna informacja —
wprowadzona do wydawnictwa popularno-
naukowego wywołać może szkodliwe skut-
ki. Falszywą tezę sformułowaną w literatu-
rze naukowej łatwo można bez śladu z
nauki wyrugować jedną dobrą recenzją,
która przecież dociera do czytelników
książki recenzowanej. Natomiast błędne
wyobrażenia utrwalające się w świadomo-
ści społecznej przez złą popularyzację nie-
łatwo się dają usunąć bez reszty”. Wie-
działem, że metodą skuteczniejszego prze-
ciwdziałania złu wywołanemu przez roz-
przestrzenianie się książki dra Grabskiego
może być wystąpienie o charakterze publi-
cystycznym, takie, które by dotarło do szer-
szego kręgu czytelników.

Nie jest rzeczą celową pisanie szczegó-
łowej recenzji z wytknięciem wszystkich
błędów i usterek popełnionych przez dra
Grabskiego. Nie byłoby to też możliwe,
gdyż recenzja taka musiałaby objąć co-
najmniej kilkadziesiąt stron. Liczne błędy
z terenu Śląska zreferowane zostały już
przykładowo w omówionym artykule prof.
Golachowskiego, o skali błędów z terenu
Warmii i Mazur poucza artykuł E. Martu-
szewskiego, na problematykę zachodnio-
pomorską nastawione było główne moje o-
mówienie, ogłoszone na łamach „Przeglą-
du Kulturalnego”. Zauważmy, że i teren
Ziemi Lubuskiej (woj. zielonogórskiego) nie
został w książce dra Grabskiego szczegó-
lnie uprzywilejowany i że opisy miast lubu-
skich — podobnie jak i pozostałych — ro-
ją się od błędów. Na nie właśnie chciał-
bym zwrócić uwagę w sposób przykładowy.

Duża niestaranność nawet w opisie po-
łożenia poszczególnych miast występuje
również na naszym terenie. I tak: Kostrzyn
leży na pograniczu woj. poznańskiego i
Pomorza Zachodniego (str. 190); Santok,
mianowany miastem, przeniesiony został
na lewy brzeg Warty (str. 382); Gorzów le-

ży przy linii kolejowej Stargard — Poznań, zatem Warszawa — Poznań — Szczecin (str. 145); Bytom Odrz. leży w okręgu legnickim, w woj. wrocławskim (str. 55); Zbąszynek na skrzyżowaniu linii kolejowych Międzyrzecz — Zbąszyń i Międzychód — Świebodzin, Sulechów (str. 571), a zapomniano o linii Warszawa — Berlin. Zaskakująca jest wiadomość na str. 481 o Lubicy nad rzeką Paklicą, gdzie w XIII wieku istniał „gród z miasteczkiem, z których ani śladu nie ma” (str. 481). Czyżby dr Grabski miał na myśli istniejącą po dziś dzień Lubrę, którą zgładził z powierzchni ziemi?

O wiele gorzej jeszcze przedstawiają się informacje na temat historycznej przynależności poszczególnych miast. Trudno na przykład o większy brak ścisłości jak tam, gdzie autor napotyka na zagadnienia łżyckie. I tak np. Gubin leży według niego na Śląsku w woj. zielonogórskim (str. 155). Wiadomo zaś, że łżycki, saski czy brandenburski Gubin nigdy nie miał nic wspólnego ze Śląskiem, bo i sam dr Grabski zauważa, że autochtonami tej ziemi byli „Serbowie łżyccy, przez Niemców zwani Wendami”. O Sulecinie informuje, że Brandenburczycy zbudowali tam zamek w miejscu dawnej osady „Łżyczan Lubuskich” (str. 422). Tego rodzaju mętne informacje naprawdę nie wzbogacą wiadomości czytelników „300 miast”.

Drezdenko, które Polska straciła w XV w. autor zalicza do miast utraconych przez Polskę w I rozbiore w 1772 (str. 186) co prowadzi go do obliczenia, że Niemcy panowali w tym mieście 173 lata (1772 — 1945?). Okazuje się, że pogląd dra Grabskiego na następne rozbiory Polski odbiega również od znanej rzeczywistości. I tak Skwierzyna miała wedle dra Grabskiego przejść do Prus nie w II, lecz w III rozbiore Polski. Dla rozwiania u czytelnika wątpliwości na temat ewentualnego błędu korektowego, wiadomość ta jest uzupełniona informacją, że stało się to w 1795 r. A więc rzeczywiście poprawna data III rozbioru (str. 387).

Przy opisie Krosna n. Odrą (str. 205) można się dowiedzieć, że cesarz austriacki Ferdynand I odstąpił księstwo krośnieńskie Hohenzollernom, margrabiom brandenburskim i że przyłączone do Brandenburgii Krosno w 1538 weszło w skład rejencji kostrzyńskiej, ale tytuł księcia krośnieńskiego nadal ozdabiał różnych zasłużonych dygnitarzy niemieckich. W tych kilku wierszach roi się od bałamuctw i błędów. Dlaczego cesarz austriacki? Czytelnik na podstawie tego zdania i wielu innych rozsypanych po całej książce mógłby nabrać wyobrażenia, że cały Śląsk, a więc i Zielona Góra i Głogów należały w XVI czy XVII w. do jakiegoś cesarstwa austriackiego. Tak np. o Świebodzinie pisze dr Grabski, że w 1510 przypadł cesarzom austriackim (str. 480). Przecież cesarstwo austriackie powstało dopiero w 1804 r. Śląsk należał poprzednio do królestwa czeskiego, które tworzyło od XVI w. unię personalną z arcyksięstwem austriackim, a władcy Śląska w tym czasie nosili godność cesarską, to prawda, ale nie austriacką. Dalsze wywody dotyczące losów Krosna pod rządami brandenburskimi są co najmniej bałamutne.

Do najstarszych tekstów polskich należy fragment z dokumentu 1304 r., dotyczący rycerza z Sulechowa „Więcko, prawi curriwi sin de Solkowe”. Tekst ten, ostatnio znów żywo w nauce dyskutowany, odnosi się do Sulechowa w woj. koszalińskim. Nie przeszkodziło to dr. Grabskiemu do związania go z zielonogórskim Sulechowem (str. 421).

Tak więc wygląda w redakcji dra Grabskiego ogólne tło historyczne i geograficzne, na którym daje kolejne szczegółowe opisy miast Ziemi Lubuskiej w porządku alfabetycznym. I o tych szczegółowych opisach powiedzieć można, że roi się w nich od błędów od początku książki do końca. I tak na pierwszej stronie rozpoczyna się opis Babimostu. Na tejże zaraz stronie czytamy: „Ziemie babimojską dziedziczyli w XIII w. Święcowie, potężny ród pomorski, zapisany w dziejach Polski haniebnie tym,

że w latach 1306 — 1307 dzierżąc najwyższe urzędy na Pomorzu zaprzedał się margrabiom brandenburskim, co w następstwie spowodowało zajęcie Gdańska przez Krzyżaków. Po tej zdradzie król Polski Władysław Łokietek skonfiskował Święcom ich dobra — w tym i Babimost i wcielił do majątku korony ustanawiając w Babimostie starostwo niegrodowe". Cały zespół tych informacji jest błędny. W rzeczywistości bowiem Święcowie nie mieli nic wspólnego z Babimostem, a dr Grabski pomieszał to wszystko z dość znaną sprawą konfiskaty Trzciela, Babimostu, Zbąszynia i Kęblowa miejscowemu rodowi rycerskiemu Nielków. Informacja zaś o ustanowieniu i to przez Łokietka starostwa niegrodowego jest dowodem nieznamości u dra Grabskiego elementów historii ustroju Polski. Przypomnijmy choćby to, że starostwo niegrodowe nie oznaczało żadnego urzędu. Zresztą i chronologia jest tu zła, ale to nas nie dzi-

wi, skoro w innym miejscu powiedziano, że w XIII w. Skwierzyna należała do rzędu miast starościńskich.

Tak to od Babimostu poczynając przez blisko 600 stron ciągnie się opis miast Ziemi Zachodnich, kończący się na Żarach i Żmigrodzie. O Żarach pisze autor, że to miasto dzieliło polityczne losy z księstwem legnickim, do którego należało (str. 596). A przecież jak wiadomo, Żary to miasto łужицкие, saskie, które właściwie ze Śląskiem niczego wspólnego nie miało.

Tych kilka przykładów, jak sądzę, wystarczy na to, by stwierdzić zupełną nieprzydatność książki dra Grabskiego. Jest ona w wysokim stopniu bałamutna, a u niezorientowanych zupełnie w problematyce historycznej czytelników może wywołać więcej szkody jak przynieść im korzyści.

Władysław Jan Grabski „300 miast wróciło do Polski” str. 659, Inst. Wyd. „Pax” — Warszawa 1960 r., cena zł 100,—.

ZDZISŁAW KOŁACZYK

MÓWIA LICZBY

Można się często spotkać ze stwierdzeniem, że czytanie liczb jest czynnością nudzącą i nudną. Zaprzeczeniem powyższego stwierdzenia są Roczniki Gospodarczo-Statystyczne województwa zielonogórskiego, wydane nakładem Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze. Roczniki te pomyślane, jako kompleksowy zbiór wiadomości o województwie czyta się z prawdziwą satysfakcją. Wypływa ona stąd, że redakcja roczników zamieściła wielką liczbę informacji statystycznych dotyczących zagadnień demograficznych, ekonomicznych, kulturalnych, socjalnych itp. Informacje te stanowią cenną pomoc nie tylko dla organów władz terenowych, ale również ze

względu na dużą szczegółowość danych statystycznych, reprezentują bogaty materiał dla badań naukowych i podstawę dla perspektywicznego planowania rozwoju gospodarczego województwa.

Oceniając znaczenie publikacji od strony merytorycznej należy stwierdzić, że żadna chyba grupa zagadnieniowa nie została pominięta. Ocena ta nie odnosi się rzecz jasna do szczegółowych informacji statystycznych, które czasami nie są kompletne. Należy jednak uwzględnić fakt, że objętość rocznika ma swoje granice — nie stanowi bowiem publikacji materiału statystycznego, a z drugiej strony limitowana jest rozporządzanym materiałem.

Ze względu na różny zakres informacji statystycznych zawartych w Rocznikach gospodarczo-statystycznych 1958 i 1959 ocenę

ich treści można przeprowadzić tylko metodą porównań i to zarówno z punktu widzenia metodycznej strony publikacji, jak ich treści.

W układzie formalnym obu Roczników nie dostrzega się zasadniczych różnic. Zarówno Rocznik 1958 jak i 1959 zawiera zestaw informacji statystycznych opracowanych w czternastu działach zagadnieniowych. Istotne natomiast różnice występują w zakresie liczby zawartych informacji oraz w odniesieniu do metodycznej strony ujęcia problematyki. Rocznik 1959 jest znacznie poszerzony treściowo i podaje o wiele większą liczbę informacji statystycznych niż Rocznik 1958. Ponadto w Roczniku 1959 zastosowano konsekwentnie zasady retrospekcji. W zależności bowiem od charakteru zjawiska, jego znaczenia i możliwości przedstawienia porównywalnych szeregów liczbowych przeciwstawia się w tablicach dane 1958 roku poprzednim, rocznym okresom sprawozdawczym. Dzięki zastosowanej metodzie porównania określonych informacji statystycznych w czasie, osiąga się możliwość oceny dynamiki rozwoju poszczególnych zagadnień oraz określenie dalszego ich trendu. Tego rodzaju metodyczne przedstawienie materiału liczbowego jest niesłychanie ważne z punktu widzenia prognoz statystycznych na przyszłe lata rozwoju województwa. Poszerzenie treściowe Rocznika 1959 w odniesieniu do Rocznika 1958 daje się przede wszystkim zauważyć w znacznie większej ilości zamieszczonych tabel statystycznych, gdyż 143 tabelom Rocznika 1958, przeciwstawiono w Roczniku 1959 — 323 tabele.

Na szczególną uwagę zasługują artykuły wstępne zamieszczone w obu Rocznikach. Porównując dane Roczników 1958 i 1959 z sytuacją gospodarczą województwa zielonogórskiego, jeszcze przed administracyjnym aktem jego wyodrębnienia, można ocenić z perspektywy czasu wielki wkład pracy i zbiorowy wysiłek władz terenowych i społeczeństwa zielonogórskiego wyrażony efektami gospodarczymi w minionym 16-

leciu. O prężności organizacyjnej i ekonomicznej młodego stosunkowo województwa w zakresie jego zagospodarowania świadczą informacje statystyczne, zamieszczone w poszczególnych działach Rocznika na tle wskaźników ogólnopolskich.

Przystępując do szczegółowego omówienia poszczególnych działów roczników należy podkreślić znaczne poszerzenie informacji statystycznych w Roczniku 1959 dotyczących zagadnień demograficznych w stosunku do danych Rocznika 1958. Poszerzenie zakresu informacji daje się przede wszystkim zauważyć w umieszczeniu takich zagadnień demograficznych jak dane dotyczące: struktury ludności według płci i wieku, urodzeń i zgonów niemowląt, akcji repatriacyjnej i osiedleńczej. Ponadto w Roczniku 1959 zamieszczono prognozy ludności w przekroju poszczególnych powiatów. Należy żałować, że prognozy te odnoszą się jedynie do roku 1960 nie uwzględniając lat przyszłych. Zagadnienia demograficzne zostały szczególnie poważnie potraktowane w Roczniku 1959 charakteryzując się wszechstronnym i różnokierunkowym ujęciem. Takie dane jak „ludność według wieku zdolności do pracy” (tabela 14 na str. 67) opracowane wg stanu na dzień 31. XII. 1958 mogą znaleźć zastosowanie przede wszystkim przy opracowaniu perspektywicznych planów zatrudnienia w województwie. Szkoda jednak, że autorzy Rocznika nie zamieścili informacji dotyczących ruchu ludności zarówno wewnątrz województwa jak i ruchów emigracyjnych i imigracyjnych. Dane statystyczne dotyczące ruchu ludności ujęte w przekrojach: miasto — miasto: miasto — wieś, wieś — miasto pozwoliłyby na zorientowanie się w zakresie kierunku przemieszczeń ludności oraz na głębszą analizę przyczyn tego ruchu.

Dział III obu Roczników zawiera informacje statystyczne dotyczące zatrudnienia. Również i w obrębie tego działu daje się zauważyć postęp odnośnie liczby informacji zamieszczonych w Roczniku 1959. Poza zatrudnieniem scharakteryzowanym w prze-

kroju powiatów, działów gospodarki narodowej, układów gospodarki i płci zatrudnionych, zamieszczono również informacje dotyczące struktury zatrudnienia według wysokości zarobku miesięcznego za miesiąc wrzesień lat 1956, 1957 i 1958 oraz dane dotyczące pośrednictwa pracy. Przeprowadzona analiza zamieszczonych informacji z tego zakresu pozwala na wyciągnięcie wniosku, że sytuacja na odcinku rynku pracy w województwie zielonogórskim przedstawia się bardzo korzystnie. Świadczą o tym nadwyżki wolnych miejsc pracy nad ilością zapotrzebowania w poszczególnych powiatach. Jedyny wyjątek od tej prawidłowości stanowi powiat ślubicki, w którym występuje systematyczny niedobór wolnych stanowisk na rynku pracy. W Roczniku 1959 zamieszczono również informacje dotyczące struktury zatrudnionych według wykształcenia. Szkoda jednak, że dane te ograniczono tylko do pracowników zatrudnionych w przedsiębiorstwach narodowych, a nie rozszerzono ich na wszystkich zatrudnionych. Dane powyższe mogłyby ułatwić władzom terenowym opracowywanie perspektywicznych planów doszkalania pracowników w celu podwyższenia ich cenzusu i kwalifikacji osobistych. Należy również żałować, że w Rocznikach nie znalazły miejsca informacje dotyczące zawodów.

W dziale IV Roczników zamieszczono dane liczbowe dotyczące przemysłu i rzemiosła oraz wielkości produkcji globalnej, przeciwstawiając te dane wielkościom zatrudnienia. Prezentowane tabele statystyczne nie ograniczają się do sumarycznej charakterystyki przemysłu, ale informują o kształtowaniu się wymienionych wskaźników w przekroju przemysłu uspołecznionego, terenowego i prywatnego, wykazując wzajemny stosunek wymienionych rodzajów przemysłu w wielkości produkcji globalnej województwa. Dane te są tym cenniejsze, iż opracowane są ponadto w rozbiciu na branże i powiaty.

Szczególnie dużo miejsca poświęcono w Rocznikach na prezentację informacji sta-

tystycznych dotyczących rolnictwa i leśnictwa i to w większości przypadków w ujęciu dynamicznym, obejmującym okres 1950 — 1958. Szeroki wachlarz danych statystycznych zapoznaje nie tylko ze stanem powierzchni i struktury zasiewów głównych ziemiopłodów w indywidualnych i uspołecznionych gospodarstwach rolnych według powiatów, ale ponadto informuje o dynamice pogłowia zwierząt gospodarskich, skupie zwierząt i płodów rolnych, ilości i wielkości jezior oraz zrzeszeniach i organizacjach rolniczych działających na terenie województwa. Szczególnie ciekawe dane porównawcze reprezentują tabele dotyczące przeciętnych plonów w spółdzielniach produkcyjnych oraz gospodarstwach indywidualnych prezentowanych w dwóch przekrojach, a mianowicie indywidualnych gospodarstwach typowych i przodujących. Przytoczone dane zdecydowanie wskazują na przewyższenie trudności gospodarczych w spółdzielniach produkcyjnych, które w zasadzie charakteryzują się wyższymi przeciętnymi plonami niż typowe gospodarstwa indywidualne, a nawet w niektórych przypadkach — przewyższają wskaźniki osiągnięte przez przodujące gospodarstwa indywidualne. Oczywiście do danych tych należy podchodzić z pewną ostrożnością, gdyż szczególnie w zakresie indywidualnych gospodarstw obarczone są błędami; niemniej jednak zamieszczone informacje pozwalają na optymistyczne obserwacje dalszego rozwoju spółdzielni produkcyjnych. Pozytywnym zjawiskiem jest również systematyczny wzrost zalesienia i to zarówno w lasach państwowych jak i nie państwowych.

Równie obszernie potraktowano w Rocznikach problematykę obrotu towarowego. Na specjalne podkreślenie zasługują opracowania dotyczące sieci sklepów handlu detalicznego i zakładów żywienia zbiorowego w przekroju powiatów, branż i wielkości obrotów. Szkoda jednak, że materiały te nie zawierają danych charakteryzujących strukturę wewnętrzną poszczególnych

branż handlu detalicznego (w przekroju typów sklepów) analogicznie do opracowania materiału dotyczącego żywienia zbiorowego. Ciekawe dane prezentują również zestawienia charakteryzujące pieniężne dochody i wydatki ludności. W świetle opublikowanych informacji daje się zauważyć interesujące zjawisko, degresywnego wzrostu wydatków na zakup towarów i usług na 1 mieszkańca w 1958 r. (w odniesieniu do dochodów na jednego mieszkańca) w przeciwieństwie do rozwoju wpłat w obrocie oszczędnościowym. Świadczyć to może o systematycznym, lecz powolnym dążeniu do oszczędzania. Charakterystyczne dane zawiera również tabela dotycząca zaopatrzenia wsi, wykazując nasycenie się rynku konsumpcyjnego artykułami elektryczno-motoryzacyjnymi przy jednoczesnym wzroście popytu na artykuły odzieżowe i maszyny rolnicze. Dane te pozwalają na przeprowadzenie oceny kierunków popytu na wsi, który ma raczej tendencję inwestycyjną.

Następnym zagadnieniem, szerzej omówionym w Rocznikach, jest dział VIII obejmujący informacje odnoszące się do gospodarki komunalnej i mieszkaniowej. Dane liczbowe zawarte w tym dziale wykazują szczególną dynamikę działania władz terenowych w roku 1958 na odcinku gospodarki komunalnej, w zakresie wzrostu: długości czynnej sieci wodociągowej, liczby wozów tramwajowych, nakładów na kapitalne remonty mieszkań itp. Wzrosła również znacznie w latach 1957 i 1958, w porównaniu z poprzednimi rocznymi okresami sprawozdawczymi, ilość izb mieszkalnych oddanych do użytku ludności zamieszkałej w województwie. Szczególną prężność w tym zakresie daje się zauważyć w powiecie np. ślubickim, co przyczynia się do znacznego obniżenia, w porównaniu z innymi powiatami, wskaźnika zagęszczenia osób na izbę. Znacznemu wzrostowi, w porównaniu z rokiem 1957, uległy również nakłady na remonty kapitalne mieszkań wyrażające się we względnym zwiększeniu

się wskaźnika średnich nakładów na jedną izbę o 40,6 proc. Szkoda jednak, że w działle tym, z punktu widzenia potrzeb planowania przestrzennego i urbanistyki oraz statystyki mieszkaniowej, pominięte zostały informacje dotyczące gęstości rozmieszczenia budynków.

W dziale IX — Oświata oraz w dziale X — Kultura i kultura fizyczna zaprezentowano dorobek województwa w tym zakresie. Szczególnie charakterystyczne są dane dotyczące wzrostu liczby kształcących się w szkołach podstawowych i liceach ogólnokształcących dla dorosłych o ponad 110 proc. w 1958 r. w odniesieniu do okresu wyjściowego (1950/1951). Świadczy to o systematycznym dążeniu społeczeństwa zielonogórskiego do podnoszenia swoich kwalifikacji. Równie duży postęp daje się zauważyć na odcinku rozwoju życia kulturalnego. Znajduje się swoje odzwierciedlenie w stałym wzroście bibliotek powszechnych i szkolnych, czytelnictwa, ilości kin oraz ilości abonentów radia i telewizji.

Szczególny postęp zaznacza się również na odcinku ochrony zdrowia, a przede wszystkim w zakresie zwiększenia liczby łóżek w szpitalach, izbach chorych i izbach porodowych oraz w zmniejszeniu wskaźnika obciążenia na jednego lekarza medycyny.

Wykazane wyżej osiągnięcia w poszczególnych dziedzinach zrealizowane zostały dzięki racjonalnemu ustawieniu produkcji w wydatkach budżetu województwa i poszczególnych powiatów. Informacje w tym zakresie prezentuje dział XIII Roczników — Finanse. Z załączonych tablic wyraźnie wynikają trzy podstawowe kierunki finansowania, a mianowicie: gospodarka narodowa, zdrowie i kultura fizyczna oraz oświata i wychowanie, na które w roku 1958 przeznaczono 85,2 proc. ogólnej kwoty preliminowanych wydatków.

Niniejsza recenzja na pewno nie wyczerpuje wszystkich niedociągnięć i zalet wydanych Roczników, stanowi jednak wystarczającą podstawę do stwierdzenia, że te publikacje Prezydium Wojewódzkiej Rady

Narodowej są cennym kompendium rozwoju gospodarczo-społecznego województwa zielonogórskiego. Należy sądzić, że omówione wydawnictwo będzie systematycznie kontynuowane.

„Rocznik Gospodarczo-Statystyczny województwa zielonogórskiego 1958” str. 254, wyd. Prezydium WRN w Zielonej Górze.

„Rocznik Gospodarczo-Statystyczny województwa zielonogórskiego 1959”, str. 497, wyd. Prezydium WRN w Zielonej Górze.

ZDZISŁAW KOŁACZYK

O WOJEWÓDZTWIE ZIELONOGÓRSKIM OD STRONY GEOGRAFICZNO-GOSPODARCZEJ

Gdyby zapytać jakiegokolwiek mieszkańca województwa zielonogórskiego, co mógłby powiedzieć o strukturze geograficzno-ekonomicznej swojego regionu, nie trudno byłoby przewidzieć jak będzie brzmiała odpowiedź. W większości przypadków będzie ona miała z pewnością charakter ogólnikowy względnie ograniczony problematyką, stanowiącą bezpośredni krąg zainteresowań indagowanego.

Jest rzeczą oczywistą, że tego rodzaju odpowiedź nie może nas ani zadowalać ani stwarzać podstaw do pozytywnej oceny form edukacji względnie samodoształcania się. Zakres naszej wiedzy o dynamice życia, o otaczającej nas bezpośrednio okolicy, czy też naszej znajomości przeobrażeń politycznych, socjalnych i ekonomicznych dokonujących się w Polsce, na pewno nie jest jeszcze ciągle wystarczający. Można by nawet zaryzykować stwierdzenie, że kształtuje się on przeciętnie poniżej minimum. Na pewno wymagamy od siebie jak i od innych osób szerszego, bardziej retrospektywnego spojrzenia na świat, Polskę czy region, w którym żyjemy i pracujemy. Jest to bowiem wymogiem i warunkiem składającym się na tzw. pojęcie ogólnego wykształcenia.

Z drugiej strony wylania się kwestia źródeł wiedzy o naszym kraju. Istnieje wprawdzie cały szereg podręczników z tej dziedziny na poziomie szkolnictwa średniego lub wyższego, nie stanowią one jednak wyczerpujących źródeł informacji geograficzno-ekonomicznych poszczególnych regionów gospodarczych. Nie zaspakajają również w tym zakresie potrzeb ukazujące się periodyki, a to z dwóch przyczyn — pewnej wycinkowości ujęć oraz trudności w ich uzyskaniu.

Łukę tę niewątpliwie wypełniają monograficzne opracowania geograficzno-ekonomiczne poszczególnych województw czy regionów, wśród których ze szczególnym zadowoleniem należy powitać ukazanie się monografii województwa zielonogórskiego.

Czytelnika niewątpliwie zaszokuje objętość wspomnianej monografii, trudnej na pozór do „skonsumowania”. Nie należy jednak zbyt sugerować się zewnętrznymi doznaniem, wrażeniami. Monografia województwa zielonogórskiego — opracowanie w pełnym tego słowa znaczeniu naukowe — jest bowiem napisana bardzo przystępnie, ciekawie, a przy tym dostępne dla szerokich rzesz czytelników.

Wspomniana monografia składa się z pięciu części, stanowiących całość opracowania.

Część pierwsza zawiera charakterystykę środowiska geograficznego, na którą składa się omówienie rzeźby i geologii, stosunków wodnych, klimatu, gleb oraz fauny i flory. Szczególnie ciekawe w tej części

opracowania są wywody dotyczące bilansu wodnego województwa zielonogórskiego, oparte na bogatym materiale statystycznym. Z danych tych wynika, że na obecnym etapie gospodarczym zużycie wody w województwie zielonogórskim nie jest duże, a zapotrzebowanie na nią nie przedstawia się krytycznie. Szczególną jednak wagę dla województwa posiada problematyka zabezpieczenia przeciwpowodziowego. Wynika to stąd, że w dolinach rzek położone są obszary użytków rolnych o powierzchni ca 150 tys. ha, a działania wojenne spowodowały duże zniszczenia w urządzeniach zabezpieczających. Na uwagę zasługuje również rozdział traktujący o faunie województwa zielonogórskiego, chociażby z tej przyczyny, że województwo to pod względem faunistycznym należy — jak podaje autor — do najmniej zbadanych części Polski. Charakterystyka zoogeograficzna, przedstawiona w tym rozdziale, nie jest przeznaczona dla wąskiego kręgu specjalistów, lecz dla tych wszystkich, którzy interesują się zagadnieniami przyrodniczymi. Znajdą oni cały szereg ciekawych wywodów dotyczących występowania w województwie zielonogórskim rzadkich okazów fauny, jak np. kraba welnistorękiego, którego pierwotną ojczyzną były wybrzeża Chin. Część pierwsza zakończona jest rozdziałem omawiającym florę województwa zielonogórskiego. Ocena najważniejszych cech flory, zaprezentowana w tym rozdziale, ma charakter raczej pozytywnej. Pomimo pewnej monotonii tego obszaru, ogólny charakter geograficzny uwydatnia się jaskrawo przy porównaniu roślinności województwa zielonogórskiego z florą regionów sąsiednich.

Część druga monografii poświęcona jest zagadnieniom osadniczo-demograficznym. Wprowadzenie do tej części stanowi rys historyczny rozwoju osadnictwa w województwie zielonogórskim. Jest on niewątpliwie konieczny, gdyż województwo ma wyjątkowo urozmaicony obraz osadnictwa miejskiego i wiejskiego, co jest niewątpli-

wym wynikiem różnorodności środowiska geograficznego, a przede wszystkim gleby, sieci rzecznej i nawodnienia, klimatu oraz znacznej ilości występujących typów krajobrazowych. Nie te jednak elementy zaważyły w decydującym stopniu na urozmaiconym obrazie osadnictwa. Zasadnicza przyczyna tkwi w całkiem innym zjawisku. Należy zdawać sobie sprawę z faktu, że teren województwa zielonogórskiego był od wieków obszarem przejściowym pomiędzy Pomorzem, Brandenburgią, Śląskiem i Wielkopolską, będąc dla każdej z tych krain terenem peryferyjnym, a w konsekwencji obiektem wielu walk i szeregu aneksji. Stąd też wielowiekowy podział terenu województwa musiał wywrzeć wpływ na zróżnicowanie typów osad wiejskich względnie miast.

Przeprowadzona następnie w sposób bardzo skrupulatny i metodologicznie poprawny, analiza sieci osadniczej zakończona jest wnioskami, wskazującymi na dalsze perspektywy rozwoju osadnictwa. Podyktowane to jest brakiem ośrodka miejskiego o położeniu centralnym oraz zbyt słabym jeszcze powiązaniem osadniczym i gospodarczym z Odrą.

Bardzo oryginalnie i ciekawie zostały potraktowane w monografii stosunki ludnościowe, a w szczególności zagadnienie tempa napływu ludności w ramach przyrostu wędrownego (m. in. akcja osiedlania) zilustrowane wieloma tabelami i wykresami graficznymi. Z analizy pochodzenia ludności w województwie zielonogórskim dowiadujemy się, że posiada ono wśród Ziemi Zachodnich najbardziej jednolitą, pod względem pochodzenia, ludność. Trzon jej stanowią osadnicy z Wielkopolski oraz repatrianci z ZSRR (ca 62 proc.). Jednak ta analiza nie odzwierciedla w chwili obecnej stanu faktycznego. Dzisiaj „rdzenni Zielonogórzanie” stanowią ponad jedną trzecią ogółu ludności województwa w wyniku przyrostu naturalnego.

Ta część pracy zakończona jest rozdziałem omawiającym zagadnienie urbanistycz-

ne i to zarówno w przekroju historycznym jak i w naświetleniu współczesnym. Na kanwie charakterystyki sieci miast dokonano omówienia takich kwestii, jak struktura funkcjonalna miast i osiedli oraz sytuacja mieszkaniowa i urządzenia komunalne w miastach i osiedlach.

Pozostałe trzy części pracy z pewnością zainteresują szerokie rzesze ekonomistów, dotyczą bowiem charakterystyki dynamiki trzech podstawowych gałęzi gospodarki w obrębie województwa zielonogórskiego, a mianowicie: rolnictwa, przemysłu oraz obrotu towarowego i transportu.

Trudno jest nam w recenzji, ograniczonej przecież objętością, podać wszystkie najistotniejsze zagadnienia poruszone w wspomnianych wyżej częściach monografii. Można zasygnalizować jedynie pryncypalne problemy, a do konkretów odesłać już bezpośrednich czytelników.

Zarówno z treści poszczególnych części jak i zakończenia podsumowującego monografię dowiadujemy się że przed województwem zielonogórskim rysują się dalsze perspektywy rozwoju na odcinku rolnictwa, sadownictwa i warzywnictwa, leśnictwa oraz przemysłu i handlu. Największy nacisk w planach perspektywicznych położony jest na rozwój przemysłu. W przeciwieństwie do stanu przedwojennego, w którym domino wało rolnictwo, dąży się obecnie do wszechstronnego rozwoju sił wytwórczych. Główną tendencją zarówno okresu obecnego jak i następnych lat jest dążenie do stworzenia z przemysłu ogniwa wiodącego w strukturze gospodarczej województwa. Nie oznacza to jednak regresji rolnictwa. Zachowa ono nadal jedną z najważniejszych pozycji gospodarczych, ale ze względu na trudne warunki glebowe nie może zapewnić województwu szybkiego postępu i wysokiego poziomu życia jego ludności. Jak wynika z prognoz demograficznych, omówionych w części drugiej pracy, koniecznym jest lansowanie szybkiego tempa rozwoju produkcji również i ze względu na zatrudnienie niezmiernie szybko rosnącej ludności. Nale-

ży bowiem pamiętać, że przyrost naturalny w województwie zielonogórskim jest wyższy od przeciętnej krajowej o prawie 50 proc. Jednocześnie rozwój przemysłu znajduje pełne uzasadnienie w bogatej bazie surowcowej, jak wielkie zasoby węgla brunatnego, największe w Europie złoża rudy miedzi, żwiry, gliny ceramiczne i ognioodporne, piaski szklarskie itp.

Poza przemysłem związanym z własną bazą surowcową lub z innymi elementami rozwoju gospodarczego, województwo zielonogórskie posiada szerokie możliwości dalszej rozbudowy innych gałęzi przemysłu, jak metalowo-przetwórczego i maszynowego, nakierowanego na zaspokajanie potrzeb własnego rolnictwa.

Drugi, bardzo ważny czynnik rozwoju gospodarczego województwa zielonogórskiego tkwi w jego znakomitym położeniu geograficznym i świetnym układzie dróg wodnych. W przypadku należytego ich uregulowania mogą stać się wielkimi arteriami transportu, a tym samym odegrać poważną rolę w dynamice rozwoju gospodarki województwa. Ułatwią bowiem spełnienie przez województwo ogniwa łączącego Śląsk ze Szczecinem, najważniejszych w kraju ognisk zaopatrzenia surowcowego, produkcji i wymiany zagranicznej, co dotychczas nie jest w należytej mierze wykorzystywane.

Jak wynika z fragmentarycznego przedstawienia poruszonych w monografii zagadnień, naświetla ona wszechstronnie demograficzną i ekonomiczną sytuację województwa zielonogórskiego. Jednocześnie umieszczona w publikacji bogata dokumentacja kartograficzna nadaje monografii charakter wybitnie użytkarny, przyczyniając się ponadto do wyjaśnienia treści poszczególnych rozdziałów oraz stwarzając podstawę do dalszych badań typu prognostycznego.

Przedstawiony zakres tematyczny określa również odbiorców wydanej monografii. Są nimi przede wszystkim pracownicy rad narodowych i komisji planowania gospodarczego, a ponadto ekonomiści, zatrudnieni

na kierowniczych stanowiskach w przedsiębiorstwach, dla których monografia województwa winna stanowić cenną pomoc w ich codziennej pracy. Wśród odbiorców monografii nie powinno zabraknąć również nauczycieli i młodzieży szkolnej, a w szczególności słuchaczy studiów nauczycielskich.

Nie oznacza to wcale, że tylko wymienione grupy społeczne mogą być wyłącznymi odbiorcami recenzowanej monografii. Sta-

nowi ona bowiem obszerny materiał poznawczy regionu dla każdego mieszkańca województwa zielonogórskiego i dlatego będzie cennym nabytkiem biblioteki domowej.

Województwo zielonogórskie, Monografia geograficzno-gospodarcza, Praca zbiorowa pod redakcją F. Barcińskiego, B. Krygowskiego i S. Zajchowskiej, wydana przez Instytut Zachodni w Poznaniu w 1961 r. ss. 604 + mapy, cena zł 120,-.

WILHELM SZEWCZYK

UWAGI O ROCZNIKU „NADODRZA” (1960)

1.

Są pisma, które powinno się czytać jedynie od numeru do numeru, ceniąc a nawet błogosławiąc ich funkcję informacyjną, nie oczekując od nich jednak wartości długotrwałych, poza ich wartością archiwalną. I z drugiej strony są pisma, które żyją długo: najpierw jako źródło informacji, potem jako materiał do porównań, wreszcie jako cenny przekaz historyczny. Uwagi te odnoszą się oczywiście nie do pism codziennych, których zadania ograniczone są do obserwacji wydarzeń dnia, lecz do periodyków, poszerzających krąg widzenia i dzięki stosowanym przez siebie formom umiejącym głębiej i plastyczniej prezentować interesującą problematykę, już nie jednego dnia, lecz dłuższych okresów czasu. Takich zadań domagamy się przede wszystkim od periodyków, które uważają się za pisma kulturalno-społeczne. Nie wszystkie one jednak, mimo iż noszą ten zaszczytny i obowiązujący przydomek, umieją sprostać swoim powinnościom.

Lektura „Nadodrza” pozwala stwierdzić, że pismo to na ogół dobrze spełnia swoje obowiązki w tym zakresie. Wypływające

stąd funkcje społeczne „Nadodrza” determinują dwie podstawowe cechy tego periodyku:

że jest to pismo społeczno-kulturalne,
że jest to pismo regionalne.

Społeczno-kulturalny charakter „Nadodrza” sprawia, że tematycznie jest ono zbliżone do pism podobnie się określających, a wychodzących w innych miastach Polski, w tym również w Warszawie czy w Krakowie. Pod tym względem „Nadodrza” nie postarało się o własny profil, mimo iż pewne rubryki typu magazynowego, zwłaszcza strony 15 i 16, a także strona 14, stanowią odstępstwo od popularnego u nas modelu pisma społeczno-kulturalnego. Dodajmy od razu: odstępstwo przydające pismu i wartości społecznej (strona 14) i atrakcyjności (strony 15 i 16).

Wydaje mi się, że zmiany w kierunku nowego, niepowtarzalnego modelu powinny dokonywać się w piśmie i w przyszłości. Nie ma bowiem reguły dziennikarskiej w tej dziedzinie, o czym świadczą także metamorfozy „Przeglądu kulturalnego”, który coraz bardziej przemieniał się (w roku 1960) w pismo popularno-naukowe o zainteresowaniach już nie tylko humanistycznych oraz „Nowej Kultury”, coraz częściej zamieszczającej materiał raczej miesięcznikowy, niż tygodnikowy i coraz bardziej specjalistycz-

nie polonistycznej. Skoro więc żadna ścisła reguła tutaj nie obowiązuje — również i „Nadodrze” będzie miało prawo dokonywać coraz luźniejszego przemieszczania różnorodnych materiałów odpowiadając chyba w większej niż dotychczas mierze na zamówienie społeczne regionu.

„Nadodrze” jest pismem regionalnym. Rozumiem to w tym znaczeniu, że z jednej strony zaspokaja ono potrzeby kulturalno-społeczne regionu, postuluje je i referuje, kontroluje i odtwarza (przy pomocy dziennikarskich czy literackich form), z drugiej zaś reprezentuje ono region w jego twórczych dokonaniach i ambicjach na zewnątrz, wobec całego kraju. Tak pojęta regionalna cecha pisma wyznacza mu swoje miejsce jedyne i niezastąpione w szerokim wachlarzu prasy polskiej i decyduje o jego ogólnych wartościach. Nieliczne próby odchylenia od tego obowiązku nie były w „Nadodrze” groźne, można zrozumieć także, jakie naciski i jakie ambicje były tu ową nie zawsze pozytywną siłą napędową, niemniej warto zespół redakcyjny przestrzec przed tym.

Myszę tutaj — by od razu uniknąć nieporozumień — o zbyt wielkim marginesie młodzieżowym a równocześnie poetyckim pisma. „Nadodrze”, moim zdaniem, choć jest pismem wyrosłym ze szlachetnego zamysłu młodych piór i redagowanym przez młody zespół, nalens volens stało się organem całej myślącej opinii Ziemi Lubuskiej bez limitu wieku. Nie jest ono więc jedynie pismem tego pokolenia, które go stworzyło, ale poprzez swoje ogólne zadania polityczne i społeczno-kulturalne skupiać musi w sobie, jak w soczewce, zespół wszystkich rozlicznych zagadnień regionu. Tym lepiej, że wszystko, co młode, to w Ziemi Lubuskiej najcenniejsze. Młodość — jeśli staje się reprezentacją całego społeczeństwa — nie usprawiedliwa jednak ani klerkizmu ani infantylizmu. A tymczasem obie te cechy ujawnia ów zbyt szeroko, moim zdaniem, potraktowany margines poetycki „Nadodrza”. Nie jestem wrogiem poezji i wiem

także, że trzon młodego środowiska twórczego w Zielonej Górze — jest to zresztą prawidłowością wielu młodych środowisk twórczych w Polsce — stanowią ludzie o zainteresowaniach poetyckich. A jednak „Nadodrze” posunęło się w tym za daleko, czy to publikując liryki (ani gorsze ani lepsze od wielu takich publikowanych w Polsce, ale niczym nie uzasadnione społecznie, chyba tylko socjologicznie) i to również poetów spoza obszaru zielonogórskiego czy lubuskiego, tyle że młodych — czy też wreszcie skrupulatnie recenzując pewne młodzieżowe publikacje poetyckie. To drugie jest dowodem nie tylko pewnego infantylizmu, ale i niejakiego ekshibicjonizmu literackiego wobec czytelnika niekoniecznie zainteresowanego młodą poezją. Bo jeżeli już recenzować książki — to czy z takim uporem i konsekwencją tylko poetyckie (niezależnie od recenzji książek o tematyce Ziemi Zachodnich)? A jeżeli w takiej ilości poetyckie — to czy tylko tomiki Grześczaków, Kozłowskich, Szlęzaków? Czy w danym wypadku pismo nie spełniłoby lepiej swojej funkcji literackiej, gdyby czytelnikom Ziemi Lubuskiej dawało nie warsztatowe omówienia młodych piór, lecz felietony czy gawędy, lub nawet poważniejsze szkice na temat najlepszych współczesnych książek polskich, a jeśli już poetyckich, to obok Grześczaków (którego n. b. mamy prawo cenić jako obiecujący talent), także Jastrunów czy Broniewskich? Margines literacki „Nadodrza” ogranicza się głównie do młodzieży literackiej, a w tym jeszcze przede wszystkim do poetów. Stąd — ponieważ nie jest to pismo dla młodych — moja przestroga przed pogrążaniem się w infantylizmie.

2.

„Nadodrze” starało się być zwierciadłem życia i myśli interesującego regionu Ziemi Lubuskiej. W tej dziedzinie ma ono największe zasługi. Jako kronika regionu przynosi ono bogaty materiał, cenny zarówno

dla polityka, działacza jak i naukowca. Oczywiście materiał tego rodzaju, gromadzony głównie w listach korespondentów, jest cenny i potrzebny również dla każdego szarego czytelnika, dając mu poczucie wielkiej, trwałej więzi, poczucie, że się tak wyrażę „bezpiecznego posiadania”, ucząc go równocześnie entuzjazmu dla dobrej roboty, cnót obywatelskich, tworząc w jego świadomości społecznej odpowiednią, rozumną hierarchię wartości. Kontakt „Nadodrza” z terenem jest — że ograniczyć się tylko do jego manifestacji na łamach pisma — mocną stroną periodyku. Widać, że pismo porusza się pewnie w swojej bazie społecznej, że nie zagraża mu eklektyzm, choćby nawet drażnił w tej czy innej sporadycznej wypowiedzi poetyckiej. To zarazem uzasadnia potrzebę „Nadodrza”, to poszerzy w przyszłości zamówienia społeczne pod jego adresem.

Odbicie życia Ziemi Lubuskiej wyraża się w piśmie w różnych formach. Są to więc listy i doniesienia korespondentów, są to drobne kronikarskie zapiski, są to artykuły publicystyczne i reportaże. Na podstawie lektury „Nadodrza” można wyrobić sobie pogląd, że w wielu zakątkach Ziemi Lubuskiej spotkać możemy entuzjastów pracy społecznej i kulturalnej, że wbrew trudnościom, wspólnym całemu krajowi, zdrowa inicjatywa społeczna wynosi tu i ówdzie na powierzchnię cenne, nowe wartości. Jest to obraz optymistyczny, choć oczywiście nie brak na nim skaz, których na szczęście, „Nadodrze” nie przemilcza, nie demonizując ich jednak ani na moment.

Najlepiej wygląda społeczno-kulturalna publicystyka „Nadodrza”. Nazwiska Koniusza, Kajana, Solińskiego, Zimeckiego, Struga, Rowińskiego, Podwysockiego, Solińskiej, Sautera, Nodzyńskiego i innych dowodzą, że wokół „Nadodrza” skupiła się spora grupa publicystów i współpracowników niezwykle utalentowanych, że potrafili oni z prawdziwą pasją związać się z problematyką Ziemi Lubuskiej, wciągając umiejętnie czytelnika w krąg własnych

przemysłów i uczuć. Na przykładzie „Nadodrza” — jeśli rzecz ujmijemy tylko z tej strony — widać, jaką rolę fermentacyjną może posiadać periodyk społeczno-kulturalny, do jakich lotów potrafi poderwać on to czy inne pióro.

Z publicystyką ogólniejszą jest gorzej. Polityczną niezwykle rozumnie uprawia Horowicz. W dziedzinie niemcoznawstwa sporo wiedzy i odwagi wnosi do pisma Kajan. Ale zdarzają się i w tej dziedzinie niewypały, wywodzące się albo z naiwności, albo z ignorancji. Z jednej strony będzie to pretensja felietonisty Jacka Czerna do kół zachodnich o brak zainteresowania się grobami w Żaganii — jednym tchem w tym kontekście — o flirt tych kręgów z Bonn (choć pretensja pierwsza winna być raczej skierowana pod adresem naszej dość nieruchomości propagandy zagranicznej), z drugiej zaś balaмутna notatka podpisana S. O. pt. „Dr Hupke poucza”, gdzie, pomijając nieznośny ton, popełnia się pospolite błędy rzeczowe (nie Hupke a Hupka; nie był on także zbrodniarzem wojennym, czym nie mógł być ze względu na swój wiek w czasie wojny, tym bardziej zaś nie był wysokim funkcjonariuszem partii hitlerowskiej w Opolu), co osłabia siłę naszej argumentacji na zewnątrz.

Proszę mnie nie posądzać o czepianie się: w polemice z odwetowcami winniśmy być bardzo dokładni w gromadzeniu materiału argumentacyjnego i nie ulegać sugestii, że każdy odwetowiec musiał być zbrodniarzem wojennym czy wysokim funkcjonariuszem hitlerowskim — są wśród odwetowców również byli więźniowie obozów koncentracyjnych, antyfaszyści, a nawet byli emigranci polityczni w okresie III Rzeszy, jak na przykład rasowo prześladowany pisarz wrocławski Walter Meckauer.

Ale oczywiście te błędy nie obniżają wartości „Nadodrza” jako organu umiejętnie zajmującego się problematyką niemiecką i antyrewizjonistyczną, tym bardziej, że równocześnie odnotować trzeba takie pozy-

cje, jak dokonaną piórem Kajana szybką i solidną reakcją na proces von dem Bacha-Zelewskiego.

Z niewypałów innego rodzaju wzbudzić musi zdumienie bardzo płytko pomyślany i napisany artykuł na marginesie procesu Puchlickiej („Poza granicami człowieczeństwa”). A przecież była to okazja, żeby korzystając z dużej zapewne liczby czytelników tego artykułu, pozwolić sobie na pewne socjologiczne uogólnienia, żeby, nie rezygnując z sensacyjności tematu, wniknąć w środowisko przestępczyni. W ogóle zaś — ta uwaga nasuwa się na marginesie wspomnianego artykułu — przydałoby się w „Nadodrze” więcej artykułów o tematyce obyczajowej. Nie znaczy to, by szukać ekstremów w obyczajowości społeczeństwa Ziemi Lubuskiej, chodzi raczej o to, by pokazać na praktycznych przykładach, w jaki sposób wytwarza się jednolity typ obyczajowy człowieka Ziemi Lubuskiej, jak różne elementy obyczajowe i społeczne, różne tradycje nowe i stare stwarzają jednolitą otoczkę obyczajową dla ludzi i ich losów. Pewnym sygnałem, choć nie koniecznie po myśli niniejszego postulatu, jest artykuł — reportaż o Tatarach, samym swoim tytułem („Mekka leży w Gorzowie”), obiecujący przeżycia egzotyczne, związane ze współczesną historią Ziemi Lubuskiej.

3.

Specjalną grupę materiałów stanowią artykuły i reportaże z przeszłości polskiej Ziemi Lubuskiej. Słusznie redakcja poświęca sporo uwagi tym problemom. Zapewne Ziemia Lubuska nie posiada tak bogatych i różnorodnych tradycji polskich, jakimi może się poszczycić Górny Śląsk, ale i tak jest ich zdumiewająco dużo, a uczciwi Niemcy przyznają nawet, że niepokojąco dużo. Rozumne przekazywanie czytelnikowi współczesnemu wiedzy o tradycjach walki i kultury dopomaga bardzo w pozytywnym kształtowaniu się procesów integracyjnych,

w utrwalaniu i pogłębianiu poczucia przynależności. Nie trzeba powtarzać znanej prawdy, mającej swoją polityczną dokumentację z ostatnich szesnastu lat, jak dobrze wpływa to poczucie na zrastanie się grup społecznych, na ich aktywność, jak dynamizuje ono wszelkie inicjatywy społeczne. Zresztą „Nadodrze” uważnemu czytelnikowi nie raz przekazywało wieści z tego właśnie frontu, informując o powstawaniu różnych stowarzyszeń miłośników regionu czy miasta.

Trzeba powiedzieć, że ten swój obowiązek „Nadodrze” wypełniało bardzo dobrze. Miło mi stwierdzić szczególnie dlatego, że przecież pismo rzadko w tej dziedzinie korzystało z usług fachowców, historyków Ziemi Zachodnich czy historyków kultury, że młodzi dziennikarze i literaci, dojrzewający w różnych regionach tradycyjnych, sami postanowili udźwignąć ten ciężar, poznać problem i ukształtować go serdecznie pod swoim piórem. Tę serdeczność podkreśliłbym jako element ważki; jest w niej jeszcze echo owego wielkiego zaciekawienia przeszłością polską Ziemi Odzyskanych, jakie towarzyszyło pierwszym polskim pionierom na tych ziemiach, ale jest w niej już więcej poczucia własnego, naturalnego związku z tą ziemią.

Bardzo dobrym pomysłem okazał się cykl wielkich tradycji kulturalnych tej ziemi. Zwłaszcza, że i Jan z Głogowa i Taddeo Polacco przynoszą zaszczyt nie tylko przeszłości Ziemi Lubuskiej, ale i całemu narodowi polskiemu. Z tych powodów za słuszny uważam także podniesiony przez pismo postulat, by Lubuskie Towarzystwo Kultury zdecydowało się na wydanie serii wydawniczej, podobnej do wydawnictwa „Śląska”, pod nazwą „Zasłużeni ludzie Ziemi Lubuskiej”. Postaci znalazłoby się sporo, a kadra publicystów i pisarzy regionu lubuskiego, wspomóżona z zewnątrz, gwarantuje odpowiednią ilość skutecznych piór.

W przeglądany roczniku nie znalazłem szkicu o jednej z najwybitniejszych postaci Ziemi Lubuskiej, o historyku Joachimie Pa-

storiowie z Głogowa, związanym także póź-
niej z Gdańskiem. Sylwetka tego humanisty,
pełnego polskich sentymentów, zasłużonego
dla naszej narodowej historiografii, nada-
wałaby się zgoła do podjęcia większego
zamiaru pisarskiego, do odcinkowej opo-
wieści biograficznej, która mogłaby być i
frapująca i pożyteczna dla czytelników
„Nadodrza”. Na marginesie zaznaczam, że
Pastorius — w przeciwieństwie do Jana z
Głogowa — posiada bogatą dokumenta-
cję ilustracyjną, co nie jest bez znaczenia
dla pisma dbającego o swoją szatę gra-
ficzną.

Podkreślić warto — jedno bowiem wynika
z drugiego — cenną inicjatywę pisma wokół
założenia Instytutu Lubuskiego. Zarówno
Instytut Śląski w Opolu jak i Śląski Insty-
tut Naukowy w Katowicach są placówkami
utrzymywanymi przez budżety wojewódzkich
rad narodowych. Nie sądzę, by Wojewódz-
ka Rada Narodowa w Zielonej Górze miała
większe trudności od WRN w Opolu, unie-
możliwiający podjęcie takiej decyzji. Z ła-
mów pisma nie dowiedziałem się, czy ini-
cjatywa ta znalazła jakiś odgłos w odpo-
wiedniej instancji urzędowej. Zresztą muszę
pismu wypomnieć, że została ona słabo
wykorzystana przez projektodawców. Moim
zdaniem należało ją wspomóc — czy to
przez ankietę wśród uczonych i działaczy,
nie tylko Ziemi Lubuskiej (skoro można było
indagować pisarzy o stosunek literatury do
wina), czy to przez rzeczowe reportaże z
pracy obu instytutów śląskich.

Kontakty pisma z tematyką śląską uwa-
żam za naturalne i godne kontynuowania.
Nie tylko dlatego, że Zielona Góra była
przecież wraz z Głogowem, Szprotawą i
Żaganiem wielowiekową częścią Śląska,
także dlatego, że istnieje pewna suma
wspólnych doświadczeń i wspólnych pro-
blemów, które lepiej rozpatrywać w szer-
szym i historycznym i współczesnym kon-
tekście. Znamienne przy tym jest, że luźniej-
szy jest kontakt z Wrocławiem, ściślejszy
natomiast z Opolem. Wynika to z powi-
nowactwa pewnych specyficznych proble-

mów oraz ze wspólnoty zainteresowań mło-
dych środowisk kulturalnych w Opolu i Zie-
lonej Górze.

4.

Prócz owych braków poważniejszych, o
których mowa była powyżej, pismo posia-
da również pewną ilość drobnych manka-
mentów, na które — pomimo całą moją
afirmację dla stylu i rodzaju pisma —
pragnąłbym zwrócić uwagę. Zaniepokoilo
mnie przede wszystkim stwierdzenie, że
czytelnicy „od Lubuszanek zaczynają czy-
tanie pisma”. Zapewne jest to zgodne z
prawdą, nie mogę jednak pochwalić tego
cyklu. Ograniczanie się tylko do Lubusza-
nek, w tym i do nieukształtowanych jesz-
cze myślowo uczennic, zadawanie im „pre-
krojowych” pytań — ma charakter bardzo
młodzieńczy i stwarza możliwość mitologi-
zowania zjawisk drugorzędnych. Gdyby ten
cykl rozszerzyć o postacie obojga płci,
charakterystyczne dla dzisiejszego życia
Ziemi Lubuskiej, nie rezygnując z formy
bezpośredniej rozmowy o wszystkim, za-
chowałoby się chyba pewne proporcje i
dałoby się zarządem cenny materiał socjo-
logiczno-obyczajowy wszystkim, którzy tym
regionem się interesują.

Słabo prezentuje się humor w piśmie.
Zwłaszcza humor słowny jest mało konkret-
ny, elitarny w aluzjach, bardziej nadający
się do jakiejś zakładowej gazetki ściennej,
niż do pisma o tak szerokim zasięgu. Pis-
mo korzysta przecież ze współpracy miej-
scowych grafików — czy więc nie można
by ich zainteresować na przykład jednym
stałym rysunkiem o tematyce antyrewizjo-
nistycznej, w każdym razie rysunkiem za-
angażowanym w takim samym stopniu, w
jakim czyni to publicystyka polityczna na
pierwszej czy drugiej stronie pisma?

Sposób łamania dynamiczny, choć na
mój gust przydałoby się w piśmie więcej
światła. Obsesja kolorowych tytułów na
tekście godna jest lekkiego ograniczenia.

Interesujące fotografie świadczą o istnieniu w Zielonej Górze grupy artystów fotografików.

5.

Ogólna ocena rocznika odczytanego jednym tchem — co łatwiej pozwala prześledzić wysiłki redakcji, niż przy lekturze od miesiąca do miesiąca — jest pozytywna. Pismo stanowi wartościową reprezentację kulturalną Ziemi Lubuskiej. Godne jest stałej uwagi i serdeczności.

Jeszcze tylko dwie uwagi na koniec — uwagi tematyczne, które wynikają z profilu pisma. Po pierwsze — nie zaszkodzi „Nadodrz”, gdy od czasu do czasu zaprezentuje czytelnikowi jakiegoś pozytywnego Niemca lub pozytywne zjawisko niemieckie; może to być sylwetka z przeszłości Ziemi Lubuskiej, może to być fakt współczesny. Z lektury „Nadodrza” trudno wywnioskować, że pismo ukazuje się w regionie graniczącym z Niemiecką Republiką Demokratyczną. Sądzę, że w każdym

numerze powinien być stały felieton, który by pokazywał pozytywny rozwój NRD, jej problemy, jej socjalistyczną perspektywę. Sprawy niemieckie, tak często przez „Nadodrze” nasświetlane polemicznie, winny znaleźć swoją równowagę przez afirmowanie dawnych i współczesnych zjawisk godnych uwagi. Po drugie — region lubuski sąsiaduje również z historycznym obszarem Łużyc. Ponieważ nie jest tajemnicą, że na Łużycach kwitnie interesujące życie kulturalne, korzystające z pełnej swobody, zagwarantowanej przez konstytucję NRD, warto dokonać od czasu do czasu małego rekonesansu na Łużyce, warto wymienić doświadczenia, warto spowodować wymianę pism — między innymi także na chwałę demokracji niemieckiej w NRD.

Lektura rocznika 1960 „Nadodrza” nasunęła sporo innych również uwag i refleksji. Ograniczyłem się do tych, które moim zdaniem, sprawiedliwie oceniają trud redakcji i które mogą być uznane za inspirację przyjaznego czytelnika.

